

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 17 grudnia 1950 r.

Nr 50 (264)

Paweł JASIEŃCZYK

### POMRUKI ŚWIATA

— Na czym polega problem? Jesteśmy przeciwnikami agresji. Jesteśmy obrońcami pokoju. Ale nie jesteśmy zwolennikami status quo.

Charles Howard, Murzyn amerykański, delegat USA na Drugi Światowy Kongres Pokoju w Warszawie.

Od trzydziestu lat znam nasze miasto stołeczne, ale nie przypominam sobie, czym raz chociażby jeden odwiedził ulicę Towarową, która przed wojną dla inteligencji polskiej tak dobrze jak nie istniała, aczkolwiek była doskonale znana warszawskim robotnikom.

I oto teraz trzeci już dzień z rzędu spędzam we wnętrzu ogromnego gmachu, który przy tejże ulicy Towarowej po wojnie wzniesiony został.

Nie warto nawet wyteżać wzroku w głąb niezmiernej sali, gdzie, za całą baterią błyszczących mikrofonów, widnieje sylwetka mówcy. I tak bowiem nie dojrzę rysów jego twarzy, ani nie ułowię charakterystycznych cech postaci. Chyba, że ktoś ma na głowie biały zawój, jak ten szeik z Syrii, albo czuprynę tak bujną i siwą, jak dziekan Canterbury. No tak — w takim dopiero razie widać lepiej.

Przede mną wmontowana w listwę stołu tabliczka rozdzielnika radiowego. Jest kontakt, pokrętko, słuchawki, a przy nich napisy: polski, français, english, russkij, italiano, lingua espanol, deutsch. dalej niezrozumiały rysunek, symbolizujący chińszczyznę oraz dodatkowy napis ówkiem: tłumaczenie czeskie. Przenoszę wtyczki słuchawek z jednego gniazdka w drugie — widzę, że spośród tłumy, co obśladł te wszystkie stoły, wielu czyni to samo — słyszę opowieść o życiu, sprawach i niedolach ciemnonolcego ludu dalekiej wyspy Kuby, przełożoną na język Verbalne'a. Nieznaczny ruch dłoni i następne zdanie mieni się bogactwem akcentów mowy Lermontowa, lub zbudowane jest z tych samych słów, które posłużyły za tworzywo do „Fausta“.

Orator urwał. W grzmot oklasków wplątuje się raptem pogłos pieśni splewanej chórem. Tlum wstaje z miejsc, drapie się na krzesła, wyciąga szyję. Nic nie można dojrzeć. Całkiem tak, jakby śpiewał pluton wojska, idący odległą, zasłoniętą drogą. A w dodatku jeszcze — ani słowa zrozumieć nie sposób.

To delegaci murzyńscy podjęli swój rewolucyjny hymn.

O, jakże nieoczekiwaną karierę zrobiła po wojnie ulica Towarowa, przy której dawniejszymi czasy dniami całymi wystawiali nieznanymi tragarze, czekając na groszowy zarobek! I któż mógł się tego domyśleć, że późną jesienią roku 1950 — w pięć lat zaledwie po wojnie, co nie tylko ulicę Towarową, ale i całą Warszawę obróciła w popiół — tutaj właśnie zjadają się z pięciu kontynentów delegaci ośmiędziesięciu narodów, by sobie

nawzajem udzielić wiadomości i poparcia w sprawie, która dla wszystkich tragarzy świata oraz ich sprzymierzeńców jest jedna wszędzie i ta sama, aczkolwiek w rozmaitych krajach pod różnymi występuje postaciami?

Powróćmy do słuchawek. Zajmują się nadal przełączaniem kontaktu na rozliczne mowy. Nie opuszczajmy przekładu chińskiego, z którego nie pojmiemy nic a nic — ani też włoskiego, hiszpańskiego czy francuskiego, „który język jest, jakoby kto cynowe misy potrząsał“! Bo to wcale nie jest zabawa. Ta prosta czynność, wysuwanie metalowych widełek z jednego gniazdka po to, by je wepchnąć w drugie — to nam daje namacalne po prostu, zmysłowe, niezachwiane pojęcie, iż przez ojczyznę naszą, przez Warszawę, przez ulicę Towarową płyną te same prądy historii, które omywają dziś wszystkie kontynenty globu, kolebią rzeczami, co dotąd uchodziły za niewzruszone.

Przełączajmy kontakty na tej oto tabliczce! Słuchajmy pomruków świata!

Świata, który się zniecierpliwiał i powiada, że ma dosyć.

Przed chwilą delegat Algieru wygłosił następujące zdanie: „Pokój w warunkach ucisku kolonialnego nie jest pokojem“.

\*

Słusznie uczyniono, ustawiając na poszczególnych stołach tabliczki oznajmiające, kto mianowicie tutaj zasiada. W przeciwnym bowiem razie trudno byłoby się nieraz połapać, a i materiał do rozważań skurczyłby się wydatnie.

Oto tabliczka z napisem „Chine“. Stół długi, wokół niego kilkadziesiąt osób. Bez tej tabliczki i bez tego napisu pomyślałbym, że zeszli się tutaj i usiedli obok siebie delegaci z całej Azji. Taka różnorodność typów fizycznych.

Pierwszy z brzegu to wysoki, siwy jegomość, ubrany w granatowy garnitur. Zaczesaane w tył jego włosy są cienkie i gładkie, zupełnie jak u Europejczyka. Nos długi, prosty. Cera czerwona, jak u starszych ludzi chorych na artretyzm. Jedyne piętno egzotyzytu to capła, stercząca brodka. Gdyby nie ona — ani by mi na myśl nie przyszło, że to Azjata.

Tutaj obok dwaj Ceylończykowie. Jeden mały, bardzo ciemny i dziwnie ruchliwy. Drugi... całkiem podobny do tego Włocha, z którym wczoraj piłśmy wódkę w „Kameralnej“. Tyle, że wyższy i jeszcze bardziej przystojny.

Przedstawiono mi pewnej młodej pani. Gdyby mi przy tym od razu nie powiedziano, że to Hinduska, wziąłbym ją za Litwinkę, a może nawet usiłował przypomnieć sobie tę parę słów litewskich, które znam. Nordyczka na „sto dwa“!

Naprawdę, granica, oddzielająca ludzi „białych“ od „kolorowych“, jest wysoce nieuchwytna. Czy istnieje sposób, który by zabezpieczał

od pomyłek przy odróżnianiu „na oko“ Hiszpanów od mieszkańców Afryki północnej?

Wśród ciżby przepycha się delegat murzyński. Od stołu reprezentantów Finlandii woła nań jakaś niewiasta. Za chwilę witają się serdecznie — znają się pewnie ze Sztokholmu, a może nawet z Paryża. Tak — tych dwoje to kontrast: on czarny jest jak smoła, jej skóra ma barwę śmietany. Ale ja się pytam, gdzie jest granica pomiędzy grupami ludzkimi reprezentującymi niezliczone odcienie barw białej, żółtej i czarnej?

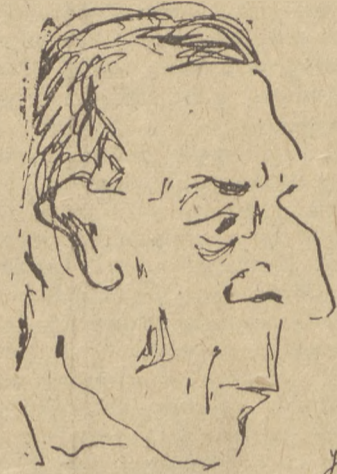
Z tego, co mówią, co głoszą z trybuny wszyscy ci różnobarwni ludzie, wynikają wnioski jakże jednak odmienne od tradycyjnych, nawykowych niejako mniemań przeciętnego Europejczyka. Podziały, hierarchie, wartości — rzeczy uznawane za pewne i same przez się zrozumiałe, tu raptem ustawiane bywają w nowych, a zgoła nieoczekiwanych układach.

Wysłuchałem wielkiej liczby przemówień. Nie potrafiłbym już nawet streścić ich połowy, ani nazwać mówców. Ogólne wrażenie zostało mi jednak takie, że przedstawiciele ludów „kolorowych“, kolonialnych i pół-kolonialnych mówią przeważnie bardzo do rzeczy, operują argumentem, konkretem, powołują się na fakty i liczby. Niektórzy zaś Europejczycy, zwłaszcza zachodni — bardzo często po prostu gędzą.

Nie gorszcie się tym wnioskiem i nie gniewajcie. Ja nie chcę nikomu ubliżyć. I nie generalizuję bynajmniej. Wielu Europejczyków mówiło świetnie. Ale ogólne wrażenie odniosłem takie właśnie, jak to powyżej określiłem. Bardzo szlachetna w treści była oracja pewnego siwego pana znad ujścia Skaldy i Renu. Ale to wszystko było tak, jakby stopy mówcy znajdowały się co najmniej o pół metra nad ziemią.

Zdaje się, że to moje spostrzeżenie da się w pewnej mierze poprzeć rzeczowymi argumentami. Ci, którzy na Kongresie reprezentowali kraje kolorowe i kolonialne, jak również ci, co przybyli z państw Europy wschodniej, w ogromnej większości pochodzą bezpośrednio z ludu. Z chłopów, z robotników. Oto południowo amerykański pisarz, Murzyn. Dziad jego był niewolnikiem, pradziad porwany został z Afryki przez łowców ludzi. Więc kto, jeśli nie ten człowiek oraz inni, jemu podobni, ma czuć skurcze mięśni i rytm krwi, pulsującej w ciałach udręczonych pracą, której zyski garną ku sobie „ziemscy bogowie“? Komu — zapytuję — łatwiej o realizm: takim, jak ten chodzący o kulach Murzyn, czy też może tym, co najlepszych nawet chęci pełni, znają świat z inteligentkich, pryncypialistycznych dyskusyj.

Ogromnie szanuję wszelkich intelektualistów. Jestem pełen po-



F. Joliot-Curie



Ilia Erenburg



Lombardo Toledano



Anna Seghers



Pietro Nenni



Pablo Neruda



Aleksander Fadiejew



Metropolita Mikołaj

## EKONOMIA NA CODZIEN

## CZYNNIK POSTĘPU

Przyznanie przez Prezydenta R.P. w dniu tradycyjnego święta górników przodownikom pracy w kopalni najwyższych odznaczeń państwowych jest jednym z wyrazów radykalnej zmiany stosunku Państwa do ludzi pracy, jaka nastąpiła w Polsce po likwidacji ustroju kapitalistycznego i wejściu na drogę do socjalizmu. Fakt ten, jak również tzw. „karta górnicza” przyznająca górnikowi szereg uprawnień, świadczy jak wielkim szacunkiem otacza państwo socjalistyczne pracę ludzką, a w szczególności pracę tak ciężką i tak ważną dla ogólnego rozwoju gospodarczego kraju, jak praca górników. W krajach kapitalistycznych tego rodzaju wydarzenia są nie do pomyślenia. Przeciwnie górnicy pracują w najcięższych warunkach i stanowią najbardziej upośledzoną grupę klasy robotniczej. Wystarczy przypomnieć znane fakty opóźnienia ze względu na tanią robociznę mechanizacji górnictwa co, abstrahując od ujemnych skutków ekonomicznych, powoduje zjawisko masowych śmierci górników. Los górników w krajach kapitalistycznych można określić bez przesady jako dramatyczny, przy czym od czasów opisywanych przez Cronina, a więc w okresie ubiegłych czterdziestu lat, można zanotować niewiele zmian na lepsze.

Odznaczenia zostały przyznane między innymi racjonalizatorom, a więc tym, którzy dzięki własnej pomysłowości usprawniają procesy produkcyjne, czy to przez wynalazki techniczne, czy też bardziej racjonalne metody pracy. Zagadnienie racjonalizatorstwa obok aspektu społecznego, polegającego na możliwości wykorzystania niejednokrotnie wielkich zdolności robotników, często nawet niewykwalifikowanych i ułatwienia im na tej drodze awansu społecznego posiada wielkie znaczenie gospodarcze na tle planu 6-cio let-

niego. Jak wiadomo bowiem do podstawowych warunków realizacji planu należy: „zastosowanie i rozszerzenie postępu technicznego, a za tym mechanizacja procesów produkcyjnych, automatyzacja obsługi urządzeń i kontrola normalizacji procesów technologicznych oraz zastosowanie zdobyczy chemii w różnych dziedzinach gospodarki”.

Realizacja tych warunków prowadzi do wzrostu wydajności i obniżki kosztów własnych, a może nastąpić nie w wyniku osiągnięć poszczególnych jednostek, lecz jako rezultat szerokiej akcji mas pracujących zorganizowanej w ramach ruchu racjonalizatorstwa.

Ruch racjonalizatorstwa wyszedł już ze stadium nieśmiały prób. Staje się procesem żywotowym, lecz równocześnie rozwijającym się planowo. Powstają kluby techników i racjonalizatorów, których ilość przekroczyła już tysiąc. Organizowane są biblioteki naukowo-techniczne, pracownie, pomoce w opracowywaniu projektów, wykonywanie obliczeń ze strony inżynierów i techników w stosunku do koncepcji robotników, odczyty z dziedziny fachowej, nara-

dy wytwórczo - racjonalizatorskie, wspólne zebrania robotników i przedstawicieli nauki. Równocześnie powstaje współzawodnictwo między racjonalizatorami. I tak „Życie Gospodarcze” Nr 11/50 podaje np., że „racjonalizatorzy przemysłu fermentacyjnego zobowiązali się przez dokonanie nowych ulepszeń w br. uzyskać 500 mln. w starej walucie zł oszczędności. Członkowie klubu racjonalizatorskiego przy Państwowych Zakładach Przemysłu Dzwiniarskiego im. M. Konopnickiej w Łodzi zobowiązali się zrealizować i wprowadzić w życie w roku bież. 18 nowych pomysłów. Jednocześnie wezwali do współzawodnictwa pracy na odcinku racjonalizacji sposobów produkcji, wszystkich członków klubów racjonalizatorów w Polsce, a zarazem do naśladowania ich inicjatywy”.

Wyniki dotychczasowe są już bardzo poważne. Zarejestrowano już 25 tysięcy pomysłów autorów. Przy czym stwierdzić trzeba niezwykle progresywny wzrost pomysłów zarówno racjonalizatorskich, jak i nowatorskich. „W pierwszym kwartale br. — jak podaje „Życie Gospodar-

cze” Nr. 22/50, ilość zgłoszonych przez robotników pomysłów wzrosła pięciokrotnie w porównaniu z 1948 r. a mianowicie z 2.223 do 13.641, przy czym więcej niż połowa znalazła już zastosowanie w pracy”.

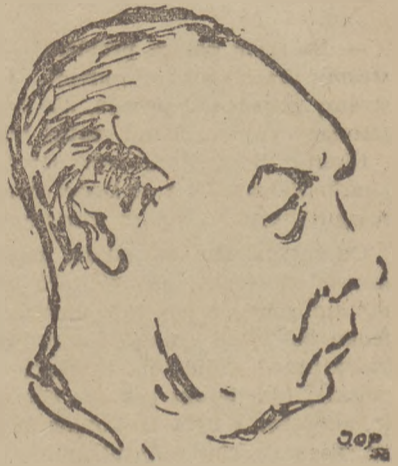
Czynnikami dalszego rozwoju ruchu racjonalizatorskiego stanie się niewątpliwie dekret z dnia 12.X. 1950 r. o wynalazczości pracowniczey (Dz.U.R.P. No. 47/50). Dekret ten nakłada na przedsiębiorstwa uspołecznione obowiązek dopomagania pracownikom w ich wysiłkach racjonalizatorskich, poza tym zabezpiecza ruch racjonalizatorski przed spaceniami, które mogłyby szkodzić zarówno interesom pracowników, jak i gospodarce narodowej.

Ruch racjonalizatorski i nowatorski jest jednym z najbardziej doskonałych przejawów wielkiej akcji współzawodnictwa. Jest zdobyczą klasy robotniczej, przynoszącą jej poważne korzyści materialne i moralne. Stanowi poważny czynnik rozwoju gospodarczego kraju. Jest wreszcie elementem wiązania mas robotniczych z warsztatami pracy, a zatem prowadzi do socjalizmu.

Łub.



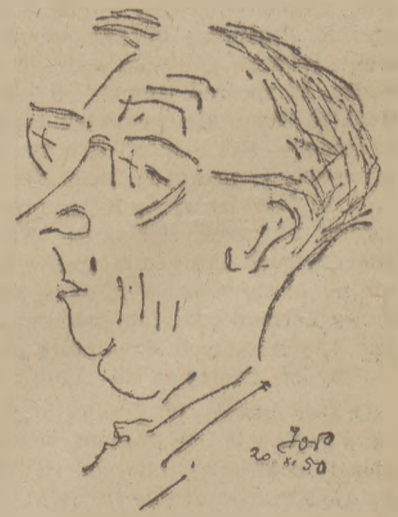
Jan Drda



Leon Kruczkowski



Juroslaw Iwaszkiewicz



Prof. Bernal



d'Astier (Francja)

## NOTATNIK POLITYCZNY

## Koniec polityki z wodą w ustach

Minister spraw zagranicznych Centralnego Rządu Chińskiej Republiki Ludowej Czou En-lai c z t e r o k r o t n i e składał w Radzie bezpieczeństwa O.N.Z. protesty i wnosił oskarżenia w związku z naruszeniem przez samoloty amerykańskie granic powietrznych Chin i w związku z dokonanymi przez te samoloty zbrodniami w postaci zamordowania i poranienia obywateli chińskich.

Minister Czou En-lai skierował w tym stanie rzeczy notę do O.N.Z. wskazującą na wzrastające zagrożenie Chin Ludowych przez amerykańską agresję w Korei.

Wszystkie interwencje Rządu Chin Ludowych były bezskuteczne. Amerykanie wbrew ostrzeżeniom przekroczyli 38 równoleżnik i ich wojska posunęły się w kierunku rzek Jaliczianu i Taminczianu, zagrażając w ten sposób bezpośrednio granicy Chin.

Dnia 4 listopada br. wszystkie demokratyczne partie Chin złożyły wspólne oświadczenie, że naród chiński „wziął na siebie święte zadanie przeciwstawienia się Ameryce, okazania pomocy Korei, obrony swych domów, obrony swego kraju”.

Powysze zniaczenie oświadczenie nie zahamowało polityków amerykańskich. Samoloty U.S.A. przekraczały granicę Chin Ludowych i bombardowały ich terytorium w dalszym ciągu, w skali regularnej ofensywy lotniczej. Wojska U.S.A. przedsiębrały nową ofensywę w Północnej Korei. Waszyngton stwarzał fakty, pozatem brał wodę w usta. Chińskie interwencje i zabiegi dyplomatyczne pozostawały bez politycznej odpowiedzi. Notoryczne naruszenie granicy i bombardowanie Chin wyjaśniano w O.N.Z. bardzo enigmatycznie, zachodziły pomyłki w rozpoznaniu lotniczym. Raptem setki lotników amerykańskich straciły zdolności rozpoznawcze.

Przyszła więc odpowiedź już nie w formie noty dyplomatycznej, fakty stworzyła także strona druga. Uchwała partii Demokratycznych Chin Ludowych została zrealizowana. Ochotnicy chińscy weszli do akcji. Armie amerykańskie znalazły się w odwrocie na całej linii, poważna część głównych sił U.S.A. otoczona, Phenian odbity, sytuacja agresorów wg. komentarzy własnego ich radia i prasy bardzo poważna.

I oczywiście nagle skończyła się polityka „z wodą w ustach”. Amerykańska propaganda stwierdziła rewelację polityczną: zagrożenie pokoju i chińską agresję. Przemówił sam Truman. Pierwsza reakcja była historyczna. Prezydent Stanów Zjednoczonych mówił o ewentualności użycia „każdej” broni na Korei, powiedział o bombie atomowej.

Nie tu miejsce na szersze omówienie oświadczenia Trumana od strony

moralnej. Ponad wszelką wątpliwość trzeba jednak stwierdzić, że ostatnia wypowiedź prezydenta Stanów Zjednoczonych jest nie tylko wyrazem politycznej hysterii lecz także — a dla nas ma to pierwszorzędne znaczenie — moralnego fałszu po suwającego się do granic zbrodni.

Po oświadczeniu Trumana w prasie zachodniej nastąpił huk. Opinia świata zachodniego, szczególnie Anglii, zaprotestowała. Nastąpiły komentarze, tłumaczenia, sprostowania, wyjaśnienia oficjalnego rzecznika prasowego Białego Domu. Opinia protestuje nadal, wypowiedziane słowa pozostają, zachowują swe polityczne znaczenie.

Premier brytyjski Atlee konferował ze swym francuskim kolegą Plevenem wreszcie poleciał do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem Trumanem.

Komunikaty z pierwszej konferencji brzmią dosyć ogólnikowo i enigmatycznie. W ich treści zwraca uwagę wyraźnie dążność do osłabienia przypuszczeń na temat rozdzwieku między anglosaskimi sojusznikami. Premier Atlee wygłosił 6 bm. głośne przemówienie do dziennikarzy, w którym sporo było ogólników i „revelacyjnych odkryć”, jak na przykład to, że niepowodzenia w Korei nie są najistotniejsze, bo akcja wojskowa nie jest celem sama w sobie, a tylko ma służyć określonym zadaniom.

Głównym akcentem w przemówieniu premiera Atlee była próba wmówienia opinii zachodniej, że w polityce Anglii i USA nie ma rozdźwięków, że porozumienie osiągnięto. Atlee nie omieszkał przy tej okazji podjąć próby „usprawiedliwiania” stanowiska Anglii wobec Chin Ludowych, które Anglia w przeciwieństwie do USA uznaje.

Prasa polityczna państw zachodnich wskazuje na powagę sytuacji, zaleca roztropność i z niepokojem śledzi wysoki polityki USA. Zapominają tam jednak, że imperialistycznej polityce rządu Stanów Zjednoczonych trzeba się zdecydowanie przeciwstawić. Nawoływanie do rozsądku a nawet dyplomatyczne podróże premierów mają bardzo ograniczone znaczenie. Nie są one rękomią pokoju. Pokój może zapewnić tylko nieugięta wola mas całego świata.

## SPRAWA PORTORIKO

Kilka dni temu prasa podała wiadomość o zamachu, jaki w Washingtonie miało dokonać na prezydenta Trumana dwóch obywateli Portoriko. Ponieważ niedawno przedtem prasa podawała również głuche wiadomości dotyczące rozruchów, jakie miały tam miejsce, celowym będzie, może, przypomnieć sobie jego historię i stosunki społeczne.

Portoriko to wyspa na morzu Karaibskim (z niego przyplływają do nas węgorze), stanowiącym właściwie wielką zatokę Atlantyku przy przemyku Panamskim. Portoriko, wraz z Kubą, Haiti i Jamajką stanowi archipelag zwany Wielkie Antyle. Haiti oraz drugi leżący na tej wyspie kraj San Domingo stanowią od dawna niezależne republiki, Jamajka jest kolonią angielską, a Kuba i Portoriko zostały po przegranej wojnie 1898 r. odstąpione przez Hiszpanię Stanom Zjednoczonym. Kuba w 1902 roku wywalczyła sobie już niepodległość, zaś Portoriko, mimo że powoli rozszerza sobie autonomię, to jednak nadal stanowi posiadłość Stanów Zjednoczonych. Biorąc przykład z Haiti i Kuby, Portoriko walczy o pełną niepodległość. Walkę tę podniecają ważne, w różnym stopniu, czynniki. Przede wszystkim ludność wyspy jest lacińska, rodowitym jej językiem jest język hiszpański. To wpływa oczywiście na zupełnie odmienną psychikę od anglosaskiego opiekuna.

Powierzchnia Portoriko wynosi ok. 8900 km<sup>2</sup>, na których znajduje się ca. 2.200.000 mieszkańców o największym na świecie przyroście naturalnym wynoszącym obecnie około 50.000 głów rocznie. Druga więc przyczyna niepokojów wewnętrznych to przeludnienie kraju i bezrobocie. Wyższy niż na innych wyspach morza Karaibskiego poziom kulturalny warstw średnich i większe ich świadomości powoduje i większe wymagania, a tymczasem warunki bytowania na Portoriko, zważywszy właśnie przeludnienie, są gorsze niż na innych wyspach archipelagu Antyli.

Głównymi produktami rolnictwa jest tytoń i cukier, który na podstawie korzystnej dla siebie umowy konsu mują w całości Stany Zjednoczone. Najlepsze ziemie należały do niedawna do spekulantów-nierolników żyjących często nawet poza krajem, dopiero w ostatnich czasach zaczęto przeprowadzać swoistą reformę rolną, polegającą na ograniczeniu maksimum władania ziemi do 200 ha oraz tworzącą pewnego rodzaju dzierżawy spółdzielcze. Przemysł jest dość prymitywny, ogranicza się niemal do ceramiki, hut szklanych i cementowni. By przyciągnąć z zewnątrz kapitały do nowych przedsięwzięć z metropolii amerykańskiej, przewiduje się szereg ulg fiskalnych.

Istniejący przemysł nie może oczywiście rozładować całego bezrobocia mimo kwoty migracyjnej do Ameryki przewidzianej rok rocznie na 25.000 głów, a to stanowi dopiero połowę naturalnego przyrostu. Emigranci ci mają tendencję tworzenia skupisk narodowych, co znów zwalczane jest przez władze federalne i powoduje nowe tarca.

Najbardziej drastyczną jest sprawa mieszkań, które szczególnie w zaułkach robotniczych są nadzwyczaj nierównomiernie, szczególnie w luksusowych willami i pałacami przedsiębiorców. Obecnie jest około 95.000 rodzin niemal bezdomnych, po sześciu latach rozbudowy pozostanie ich jeszcze około 75.000 nie licząc przyrostu za ten okres czasu.

Aczkolwiek Portoriko ma swój własny rząd, parlament i senat, to jednak ordynacja wyborcza niemal że ogranicza dojsie opozycji do władzy, tej opozycji, w której się znajdują socjaliści, nacjonałści i komuniści. Poza tym mimo dość liberalnych pozorów organizacji autonomicznych urzędów, Stany Zjednoczone mają w stosunku do uchwał izb jak i zarządzeń rządu miejscowego prawo weta.

Oto jest pobieżnie przedstawiony grunt, na którym wyrastają ruchy rewolucyjno-niepodległościowe.

Jan Toporowski.

dziwu dla ich pracy, bez której nie mogłaby się rozwijać kultura. Ale to mi nie przeszkadza stwierdzić, że tym ludziom najtrudniej czasem zauważyć to, co leży przed samym nosem.

Do rozważań niniejszych wprowadzić jednak należy pewną poprawkę. Tak — dla ścisłości. Europa obciążona jest mianowicie niezmierną tradycją parlamentarnej retoryki. Czy znajdzie się jedno chociażby słowo z repertuaru „pięknych i wzniosłych“, którego by tysiąc razy nie przemeły języzy rozmaitych ojców narodu? Przyzwyczajaliśmy się przecież, iż w takiej Francji stronnictwo najbardziej mieszczańskie tudzież tepo-konserwatywne nosi miano „radykałnych socjalistów“. Chyba tylko istny geniusz retoryki zdoła wyminąć te łatwe koleiny. Więc to może wspomnienie o tym właśnie balaście, o tym całym „langage officiel“ usposabia nieufnie wobec przemówień delegatów zachodu? Z drugiej jednak strony nie da się czasem zaprzeczyć, że im dany kraj europejski niżej stoi na drabinie dotychczasowej hierarchii — tym bardziej do rzeczy mówią jego przedstawiciele.

Jeden po drugim wchodzi na trybunę ludzie z Afryki, Azji, Ameryki, Australii i Indonezji — Chińczycy, Mongołowie, Murzyni, Hindusi, rozliczni wyspiarze. To właśnie, co oni mówią, czyni wrażenie pomruku świata, który się zniecierpliwiał i powiada, że ma dosyć.

Świadczenie zaś, zawarte w ich słowach, doskonale pasuje do wiadomości, jakie ostatnimi czasy zbierać można było i u nas, w Polsce.

Jedenaście lat temu z zapadłych polskich zaciąnek powychodzili ludzie wezwani kolorowymi afiszami na wojnę. Dążyli w kierunku wyznaczonych punktów zbornych, ku rozmaitym powiatowym miasteczkom. Nikt nie mógł wtedy przewidzieć, iż szlak bojowy powiedzie ich przez najbardziej egzotyczne, nigdy nieogładane ziemie i morza. Kto z tych ludzi umiał patrzeć, a żadnych rasowych uprzedzeń nie posiadał — ten mógł później opowiadać współplemieńcom o rzeczach bardzo pouczających.

Oto zakomunikowana mi trzy lata temu relacja lekarki polskiej, która w szpitalu swym miała kilka „siostr“, Angielek (pełny tytuł tej godności powinien brzmieć „siostra miłosierdzia“ — „co pamiętać prosim“):

— Miałam raz pewnego interes do jednej z nich. Wchodzę do pokoju i widzę, że służący, Hindus, siedzi w kucki na podłodze, a ta go kopie swoim wojskowym butem, gdzie popadło. Złapałam ją za rękę i pytam: jak pani może tak z człowiekiem postępować? — A ona mi na to: to nie człowiek, to kolorowe bydło! — I wyszła. A wtedy ten Hindus pokazał mi palcem na drzwi, za którymi znikła, a potem tym samym palcem wymownie przeciągnął po gradle.

A teraz opowieść polskiego oficera rezerwy:

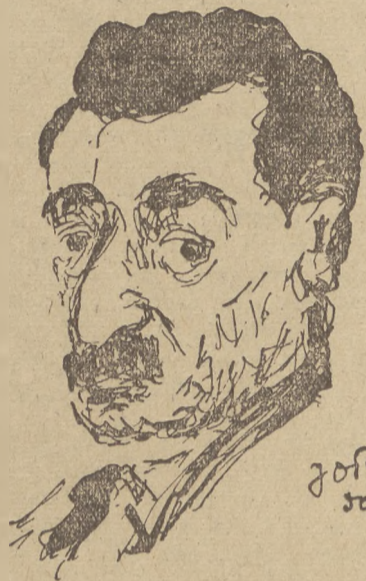
— Kiedyś w Iraku wypadło mi przechodzić koło obozu jednego z brytyjskich pułków „kolorowych“. Tam u nich oficerami byli biali. Widzę pluton wojska na zbiórce. Przed szeregiem ława, na której leży żołnierz. Podoficer wali trzciną, a oficer stoi opodal i nadzoruje. — Ty myślisz, że taki ustrój długo wytrzyma? Napatrzyłem się na to poniewieranie i kopanie i nie mam wątpliwości, że nie wytrzyma.

Na trybunę kongresową wszedł młody Murzyn amerykański. Opowiada o dyskryminacjach rasowych wobec jego narodu i wobec wszystkich ludów kolorowych. Opowiada o rzeczach, które pasują jak ulał do poprzednio przytoczonych spostrzeżeń Polaków, którzy coś niecoś na świecie widzieli.

## P O M R U K I Ś W I A T A

(dokończenie ze str. 1)

U schyłku sierpnia b.r. czasopiśmo „The Commonwealth“ powtórzyło za „New York Times“ żalostną wiadomość o tym, że jeszcze nigdy niechęć w Indiach w stosunku do Amerykanów nie była tak silna, jak obecnie. Dzieje się tak dlatego, że Amerykanie zabijają Azjatów, palą ich miasta i wsie.



Jorge Amado

Z tego wszystkiego wynika wniosek bardzo prosty: to o czym setki mówców opowiadało na Kongresie Pokoju, to nie jest żadna „komunistyczna propaganda“ tylko rzetelna prawda.

\*

W salonach recepcyjnych Teatru Narodowego tłok nie ma. Odbywa się tu wielkie, międzynarodowe jedzenie i picie. Prezydium Stołecznej Rady Narodowej urządziło przyjęcie dla delegatów i zaproszonych gości.

Ten młody, bardzo wysoki i do Cygana podobny Pakistańczyk widocznie ma już dosyć uciech gastronomicznych. Nie wygląda zresztą na obżartucha, ani na opoja. Nie pali. Odchodzimy na bok, pod okna, gdzie jest luźno i można sobie spokojnie pogawędzić.

— Jaki procent ludności pańskiego kraju mieszka na wsi? — pytam.

— Co najmniej osiemdziesiąt procent.

— A jak przedstawia się inne dziedziny gospodarki?

— Widzi pan, u nas przemysł i banki znajdują się w ręku Anglików. Do nich też należą koleje. Dowódca wojska także Anglik.

— Proszę wybaczyć pytanie — ale interesuje mnie, jak się pan zapatruje na waszą obecną niepodległość.

— O, to tylko fasada!

Niezbýt jakoś egzotycznie wypadła ta relacja gościa z dalekich stron. Archaiczna struktura gospodarki krajowej, milionowe masy ludności, zagrzebie w „idiotyzmie życia wiejskiego“ lub małomiasteczkowego, przemysł i kopalnie w ręku zagranicznych towarzystw akcyjnych, czy spółek anonimowych — „znam, zanadto dobrze znam“.

Surowce z Indii płyną do zakładów brytyjskich i stamtąd wracają w charakterze fabrykatów, sprzedawanych za drogie pieniądze tym samym ludziom, którzy wyprodukowali surowiec. W pewnym środkowo-europejskim kraju zdarzało się, a nawet prawie regułą było akurat to samo. I bynajmniej nie w tym jednym kraju, tylko w wielu jeszcze innych. W tych mianowicie, które stały nisko na drabinie kapitalistycznej hierarchii.

Pewnie, w okresie europejskiej prosperity, to znaczy wtedy, kiedy zasadniczym przedmiotem eksplo-

atacji były dzierżawy kolonialne, owym zacofanym europejskim państwom działało się jednak lepiej, niż jakiemuś Kamerunowi czy Erytrei. Ale po pierwszej wojnie możliwości europejskie skurczyły się znacznie, dała się we znaki konkurencja Stanów Zjednoczonych tudzież brytyjskich dominionów — i oto zapóźnione imperializmy Niemiec i Włoch poszukały sobie terenów ekspansji nie tylko za morzem, je-no znacznie bliżej. To nie przypadek wcale, że Polska, Czechosłowacja, Albania, Jugosławia i Abisynia potraktowane zostały jednakowo. W systemie kapitalistycznym ranga tych krajów jest ta sama. Ot i cała tajemnica.

„Fasada“. Tak, to zagadnienie stwarza pewne pozory odrębności.

Wśród obecnych na sali gości zauważyłem Zofię Nałkowską i zaraz mi się przypomniał opis przyjęcia dyplomatycznego z jej świetnych „Wzłów życia“. Pokazane tam zostało, jak to zagraniczny polityk z wyszukaną grzecznością traktuje oficjalnych przedstawicieli kraju, który już wkrótce ma być wzięty pod gąsienicę czołgów, znaczonej tym samym symbolem, co i mundur uprzejmej ekscelencji. To zresztą wypadek tak bardzo skrajny, że aż wydaje się nierzeczywisty, aczkolwiek historyczność zdarzenia nie może być podawana w wątpliwość. Normalnie zaś, przez całych lat dwadzieścia, blaski i uroki protokołu dyplomatycznego stwarzały pozory równości pomiędzy narodem eksploatowanym, zależnym i podrzędnym a tymi, którzy naprawdę decydowali o jego losie. Tak właśnie było, iż przyjęcia urządzone dla naszych polityków, recepcje, bale, kompanie honorowe, fraki i wstęgi — to, że pewna, bardzo zresztą ograniczona liczba Polaków doznawała szacunku obcowania z wielkimi tego pa- dołu i była przez nich dość uprzejmie (do czasu) traktowana — to zamydliło nam oczy i przysłoniło właściwe proporcje. Ale kiedy podczas okupacji spadliśmy na poziom parlasów, poniewieranych jak niewolnicy w koloniach — nikt z naszych dawniejszych „przyjaciół“ zanadto się tym nie przejął.

Fasada! Bez wątplenia — w tej chwili jest ona daleko mniej świetna niż w wypadku przyjęcia, opisywanego przez Nałkowską. Nie ma fraków, ani wieczorowych toalet. Na stołach krajowe wina owocowe i gdzieś tam tylko flaszkę węgierskiego. Wszystkiego dużo, ale same zwyczajne, normalnie każdemu dostępne potrawy. Pannie w sweterkach, panowie w szarych garniturach. Cóż — ludzie proszą, „nigdy na wielkim niebywali świecie“. Pochodzą z narodów, które dopiero walczą o wyzwolenie i wyjście z nizin poniewierki.

Do nich jednak należy przyszość.

A nasze miejsce jest wśród nich właśnie. Bo w tym rzeczy porządku, przeciwko któremu oni walczą, naród nasz, pomimo swej tysiącletniej tradycji i kultury, mało ma do szukania, a jeszcze mniej do znalezienia.

Przypuścimy na chwilę, że Polska powraca w ramy ustroju kapitalistycznego i jest urządzana przez amerykańskich mandatariuszy. Wątpię czy w takim razie kredyty na uprzemysłowienie kraju, na zmianę jego struktury gospodarczej, na walkę z analfabetyzmem oraz alkoholizmem, na oświatę i kulturę będą zbyt duże. A nawet — czy w ogóle będą. Nie ulega wątpliwości, że zostalibyśmy zmuszeni do zapłaćenia grubych sum za „nieprawne“ użytkowanie fabryk w Chrzanowie i kopalni na Śląsku, stanowiących przecież „wła-

sność“ Kruppa, czy kogoś innego z tej kompanii. To wcale nie są zaręty. Przecież francuscy rentierzy do dzisiejszego dnia na wszelki wypadek przechowują akcje carskich pożyczek.

Nie ma u nich żartów, albowiem chodzi o pieniądze.

\*

Wysłuchałem z uwagą znanej już wszystkim mowy Amerykanina Rogge. W pewnej chwili przy którymś ze stołów, gdzie zasiadali „kolorowi“ delegaci podniosły się okrzyki protestacyjne, ale przewodniczący poprosił o spokój i Rogge mógł spokojnie skończyć swoją orację.

Ma słusność jeden z moich znajomych, który zaczął mi tłumaczyć, iż w tym przemówieniu kryła się chyba pewna *arrière pensée*. Rogge chciał pewnie podreperować swoją opinię wobec rządu Stanów Zjednoczonych, trudno bowiem przypuścić, by inteligentny człowiek mimo woli aż tak niezręcznie skonstruował swoje wystąpienie. Przecież w zapewnieniu o specjalnej miłości Yankesów do kolorowych nie uwierzy nikt, kto czytał chociażby powieści Paul Moranda. Ten fragment mowy skwitowany też został chóralnym śmiechem całej sali.

Tuż przed Rogge zabierał głos młody Włoch z Triestu, który przytoczył niezmiernie ciekawą statystykę. Okazuje się, iż w tym pięknym mieście na każdych czterech dorosłych mężczyzn pięty jest uzbrojony. Do pilnowania. W Treście jest więcej „stróżów porządku“ niż w całym Nowym Jorku. Tamże prosperuje pięć tysięcy zarejestrowanych prostytutek. Przypuszczam, że ludność Triestu nic nie ma przeciwko najbardziej subtelnym dyskusjom. Ale nie ma też zamiaru czekać na ich rezultat, tylko domaga się możliwie najszybszej zmiany opisanego wyżej stanu rzeczy.

Rogge zwierzał się z niepokoju, jakim go napawa koncentracja siły w Związku Radzieckim. A Paul



Delegat Afryki Południowej

Robeson, w przemówieniu wygłoszonym drogą radiową, powiedział, że sześćdziesiąt milionów Murzynów afrykańskich i szesnaście milionów amerykańskich z nadzieją spogląda w kierunku kraju rewolucji.

W jakim kierunku mogą i muszą się kierować nadzieje ludów kolorowych, które doskonale wiedzą, iż Chiny oswobodziły się z ucisku mając za sobą przyjaźń Sowietów, a przeciwko sobie amerykańskie czołgi i miliardy? Czytałem niedawno temu tłumaczenie artykułu

gazety hinduskiej, wydawanej w New Delhi. Napisane tam było: Strasz nas rosyjskim imperializmem. Było by nam łatwiej w to uwierzyć, gdyby to Rosjanie okupowali Formozę, Indochiny i Malaję, gdyby rosyjskie samoloty bombardowały miasta chińskie. Tymczasem Rosjanie wcale tego wszystkiego nie czynią. Wykonują to natomiast Amerykanie, Anglicy, Francuzi i Holendrzy.

Profesor Joliot-Curie z istic francuska celnością powiedział mniej więcej tak: jeżeli wierzyć Amerykanom — stolmy wobec zadziwiającego faktu: agresorami w Chinach są Chińczycy, w Korei — Koreańczycy, w Vietnamie — Wietnamczycy i Filipińczycy na Filipinach!

Nie warto teoretyzować, kiedy można mówić o faktach.

Dla wszystkich ludów kolorowych, kolonialnych i pół-kolonialnych obrzymie a dodatnie znaczenie ma moc i potęga państwa, które zajmuje jedną szóstą część powierzchni ziem globu, a jeszcze przed trzydziestu pięciu laty samo stanowiło kolonię kapitału francuskiego, niemieckiego i angielskiego.

\*

Dzieciaki warszawskie miały uciechę podczas Kongresu. Biegały mianowicie tłumem za delegatami i zbierały autografy. A im kto ciemniejszą posiadał skórę i bardziej egzotyczny wygląd, tym lepiej się wyćwiczył w kreśleniu własnego nazwiska. Podziwiałem cierpliwość pewnego rosnącego Murzyna, który, grzecznie się uśmiechając, stał pośród istnej ciżmy niedorośtków i podpisywał, podpisywał, podpisywał...

Autografy, które zostały w Warszawie, to rzecz przyjemna, ale niezbyt ważna. Tysiącokrotnie ważniejsze jest to, co delegaci osiemdziesięciu narodów świata wywieźli z naszej stolicy. Czyli: znajomość Warszawy, pewien zasób wiedzy o Polsce, wspomnienie o gościnności i znakomitej organizacji zjazdu.

Mam pewnego znajomego, który studia średnie ukończył przed wojną w Paryżu. Kiedy pierwszy raz przyszedł do klasy i oświadczył, że jest Polakiem — młode Francuzletka zafrasowały się poważnie:

— Polska, Polska... gdzie to jest? Z tej czy z tamtej strony Rosji?

Delegaci osiemdziesięciu narodów rozwiozła po świecie, który dawniej mało o nas wiedział, informację o tym, z której strony Rosji leży Polska, ale także wcale poważny zasób wiadomości o niej. Ten Kongres to był wyczyn klasy zupełnie wyjątkowej w dziejach naszych starań o propagandę wiedzy o Polsce.

Inny jeszcze mój znajomy długie lata spędził w Stanach Zjednoczonych.

— Wie pan — zwierzał mi się raz jednego — w Ameryce w kinach daje się dużo aktualności ze świata. Więc Anglicy przysyłają zdjęcia z portów, Francuzi pokazują winobrania i rozmaite inne rzeczy. A z Polski jeżeli co kiedy przyszło, to zawsze tylko jedno: ułani jeżdżą na konikach i szabelkami łożą się. Aż przykro i wstyd było patrzeć.

Tym razem odbyła się przy ulicy Towarowej w mieście Warszawie taka sprawa, która żadną miarą za zaciąnkową sensację poczytywana być nie może.

Fakty świadczą, że w systemie stworzonym przez ludy, które bronią pokój, ale bynajmniej nie są zwolennikami zachowania status quo — oczywiście naszej przypadku w udziale miejsce wcale niepoślednie, a odwrotnie — dość poczesne i widne.

Paweł Jasienica

rys. J. Odrowąż-Pieniążek

Mateusz T. MILEWSKI

## G E O G R A F I A

„Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czcym tylko rozumu wywodem, albo próżniactwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodów. I uczeni potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przeznaczeniu, dopokąd w ich naukach, w ich umiejętnościach, rządy nie znajdują podług potrzeby wewnętrznej administracji, rady i pomocy; dopokąd ich umiejętność nie nadaje fabrykom, rękodzielnikom oświecenia, ułatwień, kierunku, postępu“. Z przemówienia ks. Stanisława Staszica wygłoszonego na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk dnia 10 stycznia 1814 r.

Z czego na początku XIX wieku zdawały sobie sprawę jedynie najbardziej wybitniejsi umysły jak Staszic, dzisiaj, w połowie wieku XX jest czy powinno być jasne dla wszystkich myślących ludzi. Życie ostatnich dziesiątków lat związało integralnie naukę z materialnymi potrzebami człowieka. Osiągnięcia naukowe regulują ruch postępu. Nauka trzyma w rękach klucz do rozwiązania najtrudniejszych problemów ludzkości, które z kolei warunkują rozwój nauki. Niewątpliwie jednym z najważniejszych i najtrudniejszych problemów do rozwiązania jest sprawa wyżywienia ciągle rosnących mas ludzkich, o której pisaliśmy w „Dzisie i Jutro“ z 17 września r.b.

Świat nauki posiada dzisiaj nieograniczone możliwości wniesienia swego olbrzymiego wkładu w dzieło walki z głodem i podniesienia dobrobytu ludzkości. Należy zdać sobie sprawę, że mimo szalonego postępu wiedzy i techniki zaledwie 7% powierzchni ładu jest zajęte pod uprawę. Jest to prawie wyłącznie teren najłatwiejszy do uprawy, który przyroda przez miliony lat przygotowywała, wyposażała i oddała człowiekowi do użytku. Tereny te są już prawie całkowicie wyczerpane, częściowo nawet wyniszczone. Wchodzimy w okres dziesięć, w którym dla ciągle przybywających rzesz ludzkich trzeba będzie sięgnąć po tereny trudniejsze, a na obszarach już uprawianych maksymalnie podnieść wydajność gleby. Może już w drugiej połowie XX wieku trzeba będzie nawodnić Saharę, uregulować Amazonkę, skolonizować Borneo czy Sumatrę. Kto ma rzucić pierwszy projekt i opracować pierwszy plan tej działalności?

Uzasadnienie potrzeby planowania w produkcji rolnej graniczyłoby z truizmem. Miliony rolników na całej kuli ziemskiej planują produkcję niezależnie od wielkości obszaru planowania. Planuje właściciel ogródka działkowego na Mokotowie, chłop kilkumorgowy, kierownik spółdzielni produkcyjnej, Centralny Zarząd Państwowych Gospodarstw Rolnych i Minister Rolnictwa. Jeżeli problem wyżywienia ludzkości ma być rozwiązany pozytywnie, to trzeba zrobić krok najważniejszy i ostatni, przejść od planowania w skali państwowej do planowania w skali globalnej. Różnica jest tylko w skali zagadnienia.

Nauka polska posiadająca tak piękne tradycje jak przytoczona wyżej dewiza Staszica ma okazję uczcić II Światowy Kongres Pokoju w Warszawie i wnieść swój pozytywny wkład do akcji walki z głodem przez podjęcie inicjatywy w kierunku opracowania teoretycznej doktryny wyżywienia ludzkości. Czy i jaka nauka powinna rozwiązać ten problem może być tematem do dyskusji; w naszym przekonaniu planowaniem całej akcji należy obarczyć geografę gospodarczą jako dyscyplinę stojącą najbliżej tego zagadnienia. Oczywiście nie te geografie, jaka została nam w spadku po ustroju kapitalistycznym, ale geografie,

która stanie na wysokości zadania jakie przed nią stawiają potrzeby materialnego życia całej ludzkości. Dzisiaj, w połowie XX wieku, geografia gospodarcza może nie tylko oddać olbrzymie usługi rodzajowi ludzkemu, ale jednocześnie otworzyć przed sobą nieograniczone możliwości rozwoju. Może nawet zostać samodzielną nauką na równi z ekonomiczną polityczną.

## DLACZEGO WŁAŚNIE GEOGRAFIA?

Przede wszystkim dlatego, że geografia fizyczna daje, a przynajmniej powinna dawać najlepsze przygotowanie do ujmowania zjawisk w skali globalnej. Uczy czy powinna uczyć kategoriami szerszymi, przestrzennymi. Wiąże w jedną strukturalną całość przeszłość z teraźniejszością, teraźniejszość z przyszłością. Bada każdy szczegół na tle całości i uczy patrzeć na całość powłoki geograficznej jako na syntezę niezliczonych czynników i części, z których każda posiada indywidualne cechy charakteru. Uczy, że każde zjawisko znajduje się w nierozdzielnej łączności z innymi w ich wzajemnym oddziaływaniu i uwarunkowaniu. Obejmuje całokształt życia powłoki geograficznej, które jest dla niej syntezą wszystkich procesów odbywających się na powierzchni Ziemi. Geografia wyjaśnia, że przyroda nie jest sumą przedmiotów i zjawisk, ale żywym organizmem, znajdującym się w nieustannym ruchu, zmianie i rozwoju. Bez znajomości geografii fizycznej nie może być mowy o racjonalnym wyzyskaniu skarbow przyrody dla celów gospodarczych.

Między geografiami fizyczną i geografiami gospodarczą istnieje jednak zasadnicza różnica. Przedmiot badań geografii fizycznej jest stały i ten sam od tysięcy lat, zmiany faktów są minimalne, ledwo dostrzegalne. Humboldt, Kropotkin, Davis i Margerie badali tę samą powłokę geograficzną, a ich zdobycze naukowe są i będą równie ważne dla długiego szeregu pokoleń. W geografii fizycznej czas teraźniejszy można rozciągać na dziesiątki, a nawet setki tysięcy lat.

Inaczej w geografii gospodarczej. Przy olbrzymim rozwoju techniki i kolosalnym dynamizmie życia społecznego czas teraźniejszy w życiu gospodarczym — tak jak w gramatyce — ogranicza się tylko do dnia dzisiejszego. Wczoraj nie jest podobne do jutra. O teraźniejszej strukturze gospodarczej niesposób pisać, bo przy obecnej dynamice procesów gospodarczych książka opisująca stan dzisiejszy będzie należała do historii zanim się ukaże na półkach księgarskich. Geografia gospodarcza nie ma czasu teraźniejszego, musi więc wybrać między przeszłością a przyszłością — patrzeć naprzód albo w tył.

W okresie liberalizmu, laissez-fairyzmu i kapitalizmu, w okresie żywiołowości i chaosu produkcji, geografia podążała za życiem gospodarczym. Nie bardzo mogła, a przede wszystkim nie chciała go wyprzedzać. Stan ten trwa nadal. Geografia gospodarcza idzie w tyle za życiem i w najlepszym razie daje prawidłowy obraz rzeczywistości, która już minęła. Książka geograficzna to jakby ostatni rozdział historii gospodarczej, traktujący życie jedynie opisowo i wybierający do opisów zjawiska najłatwiejsze: produkcję z pominięciem konsumpcji, dystrybucji i zaopatrzenia. Z produkcji na ogół opracowuje znowu działy najłatwiejsze: rolnictwo i górnictwo, unika tematów produkcji przemysłowej, wymiany i transportu. Typowa geografia gospodarcza ogólna to katalog geograficznego rozmieszczenia surowców.

W rezultacie geografia gospodarcza sprowadza się do wydawania podręczników, bardziej czy mniej starannie pozbieranych z innych książek — wiadomości oczywiście pożytecznych ale zupełnie nie rozwijających umysłowo, nie pobudzających czytelnika do myślenia. A książka, która nie zmusza do myślenia, nie jest warta papieru, na którym ją wydrukowano.

Stara geografia jest nauką opisową, nowa powinna być społeczną. Na to jednak, żeby została nauką społeczną, geografia gospodarcza musi zarówno w swoim spojrzeniu na życie jak i w kierunku swoich badań dokonać zwrotu o 180° — musi patrzeć naprzód. Spojrzenie w przeszłość należy do istoty każdej działalności gospodarczej. Sztuka przewidywania jest podstawowym elementem gospodarowania, a przewidywanie jest synonimem planowania. Kto nie ma zdolności planowania, nie powinien się nawet zbliżyć do zagadnień gospodarczych. Odnosi się to i do geografii. Ludzkość potrzebuje nauki, która by zdobyła wpływ na życie gospodarcze na równi z ekonomią, która będzie to życie planować i przewidywać, która w przeciwieństwie do historii będzie jego przewodnikiem a nie kronikarzem. Nauki, która będzie szukała teoretycznych rozwiązań wszystkich problemów gospodarczych drogą pokojową. Jeśli geografia gospodarcza spełni to zadanie to zasłuży na miano Geografii Pokoju.

## „STARA I NOWA GEOGRAFIA“

Stara geografia gospodarcza jest martwa, bo aspołeczna, oderwana od życia i zupełnie pozbawiona pierwiastka twórczego. Udowodnił to jaskrawo Kongres Międzynarodowej Unii Geograficznej świata kapitalistycznego, który odbył się ubiegłego roku w Lizbonie. Wśród szeregu podanych w sprawozdaniu z Kongresu tematów zresztą bardzo ciekawych rozpraw nie ma ani jednego, który by wykraczał poza granice badań. Badania życia przeprowadza geografia kapitalistyczna rzeczywiście sumiennie, w żadnym jednak razie nie próbuje go zmieniać. Stąd problem wyżywienia ciągle wznrastający w liczbę ludzkości nie był w Lizbonie w ogóle poruszony. Geografia kapitalistyczna stoi na stanowisku, że to zagadnienie jej nie dotyczy, zostawia je neomaltuzjanom. Geografia kapitalistyczna jest tylko nauką badawczą i niczym więcej.

Jakże inne są drogi nowej geografii! Jeszcze w 1938 roku w swojej pracy o materializmie historycznym i dialektycznym Stalin uważał za konieczne wyjaśnić wpływ środowiska geograficznego na rozwój społeczeństwa, a dzisiaj możemy już poważnie mówić o wpływie Stalina na rozwój środowiska geograficznego: o pierwszym człowieku, który zmienia przyrodę na olbrzymich obszarach.

Wybuch w Bramie Turgajskiej stanowi przełomową datę w historii cywilizacji, szczególnie zaś w historii geografii jako nauki. W dniu tym potencjał cywilizacyjny i wola człowieka w nadzwyczaj wyraźny sposób wykazały przewagę nad środowiskiem geograficznym jako źródłem rozwoju społeczeństwa ludzkiego.

Dotychczas człowiek raczej niszczył środowisko geograficzne, jego rola w stosunku do przyrody była zdecydowanie destrukcyjna. Obecnie, od założenia pasów leśnych na południowych stepach Związku Radzieckiego, od wybuchu w Bramie Turgajskiej, od nawodnienia pustyni w centralnej Azji i budowy największych w świecie elektrowni na Woldze zaczyna się nowy rozdział w historii geografii. Stosunek czło-

wieka do przyrody nabiera charakteru konstruktywnego. Człowiek wkracza na drogę przeobrażenia, a nawet tworzenia nowego środowiska geograficznego, które przyniesie chleb milionom ludzi. To, czego już dokonała nauka radziecka równa się odkryciu nowych kontynentów.

Stosunkowo niewielka perspektywa czasu, z której możemy patrzeć na rezultaty wybuchu w Bramie Turgajskiej nie pozwala nam jeszcze ocenić wszystkich rewolucyjnych zmian, jakie to zdarzenie wniesie w życie przyszłych pokoleń. Jedno jest pewne: geografia przestała być wyłącznie nauką badawczą, a stała się nauką stosowaną jak medycyna, agronomia albo chemia przemysłowa. Taką właśnie nauką stosowaną, opartą na ściślejszej nauce badawczej na najwyższym poziomie jest geografia radziecka.

Musimy zdać sobie sprawę, że żyjemy w epoce rewolucyjnych przemian we wszystkich dziedzinach, zrozumieć ducha czasu, bo inaczej zostaniemy wyrzuceni poza nawias życia. Dotychczas powłokę geograficzną zmieniały procesy morfologiczne trwające miliony lat. Dzisiaj no to, żeby wody Obi i Jenisieju skierować do morza Kaspjskiego trzeba: koncepcji teoretycznej, ustawy, która wprowadzi ją w życie, i wykonania, które potrwa kilka lat.

Ustawa o Planie 6-letnim wprowadzi nie zmieni u nas powłoki geograficznej, ale zmieni strukturę gospodarczą kraju tak zasadniczo, jakby tego nie dokonało 60 lat gospodarki bezplanowej. Na marginesie zauważymy, że w tej chwili przemiany, jakim podlega gospodarka polska w okresie Planu 6-letniego, wydają się najważniejszym przedmiotem badań i nauczania geografii gospodarczej w Polsce.

## GEOGRAFIA OGÓLNA I REGIONALNA

Zanim postawimy pytanie, czy metody pracy geografii stosowanej w Związku Radzieckim można użyć do rozwiązywania zagadnień w skali światowej, musimy dać kilka słów wyjaśnienia na temat geografii ogólnej i regionalnej.

Gospodarczo ludzkość stanowi dzisiaj jeden żywy i zwarty organizm, a proces zjednoczenia idzie naprzód z nieubłaganą konsekwencją. Wszystką ziemię uprawną naszej planety można już uważać za jedno gospodarstwo rolne, ale należy pamiętać, że geografia fizyczna dzieli kontynenty na naturalne krainy i regiony, z których każdy posiada wybitną indywidualność gospodarczą w zależności od środowiska geograficznego i stopnia rozwoju społecznego; że granice polityczne nie pokrywają się z naturalnymi granicami geograficznymi, gospodarczymi i narodowymi.

Acekolwiek często przypadkowe, są one równie często rezultatem długowiekowych tradycji politycznych i zostały już w zupełności ustalone przez konwencję, traktaty i prawo międzynarodowe. Istniejący podział polityczno-administracyjny należy przyjąć we wszelkich rozważaniach teoretycznych za obowiązujący podział gospodarczy. Są ku temu dwa ważne powody.

Pierwszy z nich to niezależność i suwerenność, którą posiadają, albo będą posiadały wszystkie obszary polityczne. W tej chwili planowanie gospodarcze w skali światowej jest czystą abstrakcją — zaczyna się i kończy na granicy politycznej badanego obszaru. Tabu, którego nie wolno przekraczać nawet teoretycznie. Gospodarka planowana w skali państwowej musi posiadać władzę, która wprowadza w życie plan gospodarczy, gospodarka planowa w skali światowej nie powinna posiadać żadnej władzy, a musi się opie-

rać — nawet w teorii — jedynie na dobrowolnej zgodzie zainteresowanych regionów. Władza w skali międzynarodowej jest bardzo niebezpieczna, bo prowadzi nieuchronnie do imperializmu i wyzysku. Plan Marshalla, który hamuje rozwój gospodarczy krajów „zmarshallizowanych“ jest tego niezbitym dowodem. Polityka gospodarcza imperializmu amerykańskiego hamująca uprzedmiotowienie jakiegokolwiek kraju w świecie może przynieść doraźną raczej iluzoryczną korzyść tej czy innej grupie kapitalistów, ale na długą metę jest działaniem również na szkodę Stanów Zjednoczonych. Jedynym rozwiązaniem wszystkich problemów, stojących przed ludzkością jest postęp we wszystkich dziedzinach życia.

Drugim ważnym powodem, dla którego musimy przyjąć obecny polityczny podział świata za podstawę teoretycznych rozważań na temat gospodarki planetarnej, jest statystyka. Jedną z bardzo niewielu zalet podziału świata na obszary celne jest fakt, że wszelki graniczny ruch towarów jest skrupulatnie rejestrowany, co pozwala nam na stworzenie sobie obrazu bardzo skomplikowanej i misternej sieci cyrkulacji towarów i ujęcie jej statystycznie. Cyfry i fakty są podstawą każdego rozumowania. Nie tylko podstawą. Cyfry i fakty są równocześnie tego rozumowania kontrolą oraz umożliwiają stosowanie metody porównawczej w rozważaniach gospodarczych. Statystyka to niewyczerpane i niewyżyłskane jeszcze źródło, które może dostarczyć matematycznie ścisłych dowodów absurdalności gospodarki kapitalistycznej. Statystyka pozwala geografii gospodarczej stać się nauką ścisłą. Bez statystyki ta sama geografia jest jedynie literaturą krajoznawczą... jeżeli potrafi wnieść się do poziomu literatury.

Gospodarkę każdego regionu możemy podzielić na naturalną, która służy przede wszystkim zaspokojeniu potrzeb ludności miejscowej i produkuje towarową, która jest przedmiotem wymiany międzynarodowej. Każdy region, kraina a nawet kontynent ma własne, dla siebie typowe problemy do rozwiązania. Jedne z nich dotyczą gospodarki światowej w mniejszym, inne w większym stopniu. Jeszcze inne w ogóle nie wykraczają poza granice regionu.

Żeby geografia ogólna nie stała się znowu encyklopedią i sumą wiadomości, dostarczanych przez geografie regionalne, trzeba ustalić ich wzajemny do siebie stosunek. Przedmiotem badań geografii regionalnej jest przede wszystkim gospodarka naturalna, a towarowa tylko o tyle, o ile dotyczy danego regionu. Przedmiot badań geografii ogólnej to przede wszystkim zagadnienia dotyczące całej ludzkości, gospodarka towarowa w skali światowej i stosunki gospodarcze między regionami. Ponieważ nie istnieją jeszcze kryteria, jakie nury procesów gospodarczych są najważniejsze, co trzeba podkreślić a co opuścić — przedmiot badań zależy od indywidualności geografów a wartość dzieła od tego, czy jego autor rzeczywiście obejmuje całokształt życia badanego obszaru i jak go widzi.

## ŚWIATOWA UNIA GOSPODARCZA

Do czasu Rewolucji Przemysłowej nie istniało prawie zagadnienie magazynowania i transportu środków żywności na większą skalę. Jeżeli gdziekolwiek czy kiedykolwiek zawiodły zbiory — ludność po prostu umierała z głodu. Dopiero rozwój kolei i żegluga pozwalał stopniowo na rozszerzenie wymiany na całą powierzchnię globu. Coraz więcej krajów i towarów zostało wciągniętych do wymiany międzynarodowej. I to jest zjawisko niedwzwalne. Jak dług

# P O K O J U

będą na ziemi różnice klimatów, nierównomierne rozłożenie skarbów mineralnych, rąk do pracy i narzędzi produkcji, tak długo wymiana towarowa będzie jednym z najważniejszych czynników gospodarowania.

Wymiana towarowa między krajami zgrupowanymi przy Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej odbywa się na zasadzie równouprawnienia i poszanowania interesów partnera, służy interesom uczestniczących w niej narodów, dąży do ich dalszego rozwoju gospodarczego i wzrostu dobrobytu, rozszerzenia i zacieśnienia stosunków gospodarczych, stałego zwiększania obrotów towarowych. Wymiana międzynarodowa w krajach imperialistycznych jest narzędziem ucisku i wyzysku, jest środkiem eksploatacji krajów słabszych ekonomicznie, źródłem tanich surowców i jeszcze tańszych sił roboczych.

Cały nasz dobrobyt, kultura i cywilizacja opiera się na wzajemnej wymianie usług, organizacji, podziale i koordynacji pracy. Im wyższy poziom cywilizacyjny, tym dalej idący podział pracy, tym dalej posunięta wymiana usług i bardziej precyzyjna organizacja społeczna. Cały konflikt ideologiczny, który podzielił świat na dwa wrogie obozy, można sprowadzić do tego, czy wzajemna wymiana usług ma się odbywać na płaszczyźnie równości czy wyzysku. Wszystkie te procesy wymagają naukowej analizy i syntezy w skali globalnej.

Proces uspołecznienia gospodarki idzie naprzód z nieubłaganą konsekwencją. Poprzez wojny i rewolucje, poprzez postęp techniczny i społeczny ludzkość zmierza wielkimi krokami do światowej Unii Gospodarczej, a pierwszy jej zwiastun to Międzynarodowa Unia Pocztowa, której 75-lecie istnienia obchodziliśmy w tym roku.

Od dzieciństwa do poczty przyzwyczajeni nie myślimy już o tym, że każdy znaczek na liście jest jednocześnie symbolem regionalizmu, podziału świata na samodzielne obszary polityczne i symbolem międzynarodowej wymiany usług. Że każdy listonosz, przynoszący nam pismo z zagranicy, to urzędnik współpracy międzynarodowej. Że wrzucając kartę do skrzynki pocztowej korzystamy ze wspaniałej organizacji społecznej, obejmującej swoją działalnością całą kulę ziemską. Że wreszcie bez tej organizacji trudno sobie wyobrazić życie XX wieku.

Światowa Unia Pocztowa jest ulubionym tematem publicystów krajów kapitalistycznych, snujących projekty na temat gospodarki światowej. Nigdy jednak żaden z nich nie próbował — nie chciał czy nie mógł zrozumieć — na czym polega idealne funkcjonowanie MUP. Kraje kapitalistyczne nie kwapią się dostrzec, że dzieje się tak dlatego, ponieważ wszyscy członkowie Unii mają równe prawa i równe obowiązki, ponieważ nie ma w niej wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, ponieważ wymiana usług odbywa się na drodze dobrowolnej zgody i równouprawnienia.

Jeśli chodzi o miliony prostych ludzi — światowa Unia Gospodarcza mogłaby powstać jutro. Ludzkość dojrzała już umysłowo i moralnie do tego, że wyzysk człowieka przez człowieka, narodu przez naród jest takim samym przeżytkiem jak mordowanie się wzajemnie ludzie dla jakichś urojonych i trudnych do sprecyzowania celów. Jedynym hamulcem w rozwoju społecznym ludzkości jest polityka rządów państw kapitalistycznych, które stosują prawo dzungli w stosunkach gospodarczych z innymi narodami. Jednostronne zerwanie umowy handlowej polsko-angielskiej exempli gratia.

## WNIOSKI

W ten sposób dochodzimy do zasadniczego pytania: czy doświadczenia gospodarki planowej w geografii stosowanej, które tak świetnie zdają egzamin w Związku Radzieckim, można zużytkować dla opracowania teoretycznej doktryny wyżywienia całej ludności Ziemi? Otóż naszym zdaniem nie tylko można, ale trzeba. Co więcej, gospodarka planowa w skali światowej wydaje się nawet łatwiejsza do rozwiązania teoretycznych niż w skali narodowej.

Gospodarka światowa będzie się zawsze opierać na samodzielnej gospodarce narodowej, której zostaną wszystkie najtrudniejsze zadania do rozwiązania. Gospodarka planowa w skali narodowej obejmuje wszystkie dziedziny życia, w skali światowej tylko produkcję najważniejszych towarów, będących przedmiotem wymiany międzynarodowej. Statystyki handlu światowego za lata ubiegłe dają bardzo cenny materiał do wyciągania wniosków na przyszłość. Gospodarka planowa w skali światowej to nie jakaś wielka rewolucja gospodarstwa, a tylko racjonalizacja dotychczasowej produkcji towarowej i wymiany międzynarodowej.

Geografia Pokoju jako nauka społeczna musi mieć jasno i wyraźnie sformułowany cel do osiągnięcia: ogólne podniesienie dobrobytu całej ludzkości. Na tym etapie rozwoju, na jakim znajdujemy się dzisiaj, w połowie XX wieku — przede wszystkim jej wyżywienie. A zatem przedmiotem badań Geografii Pokoju powinny być regionalne nadwyżki i niedobory środków żywności, po to, żeby je zbilansować; zaplanowanie produkcji do poziomu zapotrzebowania; podział produkcji pomiędzy regiony i organizacja wymiany.

Reasumując, zadanie Geografii Pokoju nie polega na dawaniu obrazu jaka jest, ale jaka powinna być racjonalna gospodarka płodami rolnymi w skali światowej. Biorąc za podstawę konkretne warunki materialnego życia ludzkości Geografia Pokoju powinna przedstawić swój własny koncept produkcji, podziału i wymiany środków żywności. Tylko tą drogą geografia gospodarcza ogólna nabierze treści, której dotychczas jej brakuje.

Na najwyższym szczeblu rozwoju syntezą badań geografii pokoju powinien być szczegółowo opracowany światowy plan produkcji i wymiany, oparty na harmonii interesów wszystkich regionów naszej planety, a więc całego rodzaju ludzkiego. Za punkt wyjścia powinny być przyjęte plany regionalne. Plan światowy musi się opierać na planach regionalnych, plany regionalne muszą uwzględniać plan światowy. Rola geografii regionalnej jest zatem dwojaka: dostarczenie materiałów do syntezy w skali światowej oraz kontrola planu światowego z punktu widzenia interesów danego regionu. Tylko w ten sposób powstanie nierozwalny związek między geografiami regionalną a ogólną.

Niezależnie od koloru skóry jego mieszkańców, niezależnie od jego ustroju społecznego, kontrolę planu światowego powinien wykonywać każdy kraj i każdy region pod kątem widzenia własnych interesów i wartości planu jako całości. Plan gospodarki światowej powinny być przedmiotem dyskusji międzynarodowej, aby każda jednostka, każdy naród i cała ludzkość mogły je ocenić i skrytykować.

Ale na początek plan ten może być najskromniejszy i najmniej doskonały, może w pierwszej fazie sprowadzać się do porównania produkcji i konsumpcji — byle powstał, byle raz ruszył z miejsca. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinno być opracowanie dla wszystkich dwu-

stu kilkudziesięciu regionów, o których mówiliśmy powyżej, pewnych tabel, które dla braku innej nazwy nazwijmy „statystyką przyszłości“. Na podstawie doświadczeń przeszłości i wszelkich innych przesłanek stojących do dyspozycji należy obliczyć na rok 1951, a z czasem na lata następne, prawdopodobne dane dla każdego regionu dotyczące produkcji i konsumpcji, nadwyżek przeznaczonych na eksport i niedoborów, które powinny być pokryte przez import dla siedmiu podstawowych surowców rolniczych: pszenicy, ryżu, cukru, kawy, herbaty, bawełny i wełny.

Zdajemy sobie sprawę ze wszystkich trudności, jakie następcza opracowanie statystyki przyszłości szczególnie w krajach o gospodarce kapitalistycznej. Należy być przygotowanym na to, że niektóre dane mogą być podane tylko w przybliżeniu, inne muszą się zamykać w granicach minimum i maksimum, jeszcze inne będą wymagały komentarzy. Pewne surowce jak np. pszenica i cukier są prawie jednorodne, inne dzielą się na większą albo mniejszą ilość gatunków. Cyfry jednak nie muszą być ścisłe, wystarczy gdy będą bliskie rzeczywistości. Nie chodzi bowiem o cyfry — podstawy działalności praktycznej, lecz o cyfry — podstawy rozważań teoretycznych, o materiał dla opracowania metody dalszego działania. Do tego celu wystarczy jeśli tabele będą opracowane dla wyżej wymienionych surowców, z czasem listę towarów będzie można powiększyć.

Pamiętajmy jednak, że Związek Radziecki planuje z powodzeniem produkcję i konsumpcję od lat z górą dwudziestu i wszelkie dane obliczone są na pięć lat naprzód; że dzięki gospodarce planowej produkcja roku 1940 wzrosła w stosunku do roku 1913 półtorakrotnie jeśli chodzi o zboże, 3,4-krotnie w bawełnie, 20-krotnie w energii elektrycznej i 50-krotnie w maszynach; że kraje demokracji ludowej korzystają z doświadczeń radzieckich, dzięki którym mają olbrzymie osiągnięcia w gospodarce planowej; że nawet kraje kapitalistyczne zdobyły duże doświadczenie w planowaniu wyżywienia ludności w czasie dwu wojen światowych; że demografia potrafi dość dokładnie obliczać przyrost naturalny ludności na dziesiątki lat naprzód; że wreszcie dla wielu surowców istnieją już międzynarodowe porozumienia producentów i konsumentów, które od lat robią statystyki przyszłości.

Co wniosłoby w życie ludzkości te nowe zestawienia statystyczne? Pozwoliłyby badać pewne procesy i problemy gospodarki światowej a priori, zamiast jak dotychczas a posteriori. Pozwoliłyby podejść planowo do zagadnień produkcji i konsumpcji, popytu i podaży, dystrybucji i wymiany w skali światowej na podstawie danych cyfrowych, jeśli nie zupełnie dokładnych, to w każdym razie zbliżonych do rzeczywistości. Aby przewidywać i planować zarówno geografii pokoju jak i inne nauki gospodarcze muszą mieć materiał. Proponowane tabele orientowałyby nas w „światowym rynku przyszłości“ najważniejszych płodów rolnych i dalyby podstawę do zrobienia „bilansu przyszłości“ tych surowców. Dąłyby racjonalne podstawy do wyciągania wniosków zarówno odnośnie produkcji i wymiany środków żywności, jak i — może kiedyś — do właściwego użytkowania obszarów naszej planety, do ustalenia metody i techniki dalszego działania, do organizacji i koordynacji wysiłków, do zrobienia pierwszego kroku w kierunku światowego planu wyżywienia ludzkości. Pozwoliłyby może ocalić życie milionom ludzi i zbudować lepsze jutro dla przyszłych pokoleń.

Mateusz T. Milewski

# POECI O POKOJU

Roger BODART

(Belgia)

## GDY WRESZCIE SKOŃCZY SIĘ WOJNA

Gdy wreszcie skończy się wojna  
Niebo będzie jak gniazdo ptasie, spokojne  
W stawie znów księżyc zatonie,  
Gwiazdy podadzą nam dłonie  
Nenufar, mchy i gąszcz alg  
Zatańczą na pianach łał,  
Wiewiórki igrać będą  
Z wieńczonym różami sępem  
Zejdzie cisza na miasto  
Słowa Boże usłyszy każdy.

Ludzie w spokoju będą pożywać chleb  
Srebrnie zagra pachnący step  
Oczy kobiet zaświecą znowu  
Dłonie dzieci się skryją w rękawiczkach puchowych  
Chłop w spokoju uniesie kosę,  
Śmierć odejdzie — załśni niebios.

Boże, dzięki za to wielkie święto  
Które kiedyś zesłesz nam na ziemię  
Dzięki za tryl skowronkowych dzwonków  
I za gron dojrzałych słodkie cienie  
I za flety i za trąbki srebrne  
I za śmiech lecący ponad ziemią.  
Panie, nie wiem po co te zmagania  
Zgłiszczą wokół — trupów żniwa hojne,  
Pozwól niech na ziemi mej zostaną  
Kiedy wreszcie zakończy się wojna.

Fryderyk SCHILLER

1759 — 1805

(Niemcy)

## PIEŚŃ DZWONÓW

(fragmenty)

O Pokoju!  
Zgoda miła!  
Zostań, zostań  
Przyjacielska w mieście tym!  
Oby nigdy dzień nie błysnął  
W którym dzikie wojen hordy  
Przez dolinę cichą szły;  
By nieboskłon  
Który zmierzchu złota zorza  
Barwi nam,  
Gorejących wsi i miast  
Straszną łuną płonął znów.

Do nas! Do nas  
Towarzysze! Mocne nam podajcie dłonie  
Chrzcić cię będziem święty dzwonię,  
Konkordia — oto imię twe.

Dla zgody bowiem to serdeczne zgromadzenie  
Niech twój zwołuje głos, niech gra w nim uniesienie,  
Ach radość niosą dzwonu dźwięki  
I Pokój niechaj trwa na wieki.

Bjoernstjerne BJÖRNSEN

1830 — 1910

(Norwegia)

## PAMIĘCI RANNYCH

Cichy szereg przechodzi  
Poprzez huragan bitwy.  
Płyną szeptu jedynej we wszystkich językach modlitwy.  
A oni się pochylają nad tym, który pada w boju  
Krzyż znaczny ich ramiona —  
To wysłannicy życia, orędownicy pokoju.

I nie tylko tutaj stoją pochyleni  
Nad krwawiącą raną długich bitew  
Lecz rozsiani po szerokiej ziemi  
Umęczonemu światu bezmierną niosą miłość  
Serca piękne — serca najcenniejsze  
Tych co milcząc idą przeciw cierpieniu.

To oni głoszą nieubłaganie  
Nienawiść przeklętym szerzycielom wojny,  
Pragną pokoju i schronu dla życia.  
To ci co znają całą mękę ziemi,  
Ci, którzy zgładzić chcą rozpacz i nędzę,  
Ci co współczują z krzywdą swoich braci,

Są krzykiem, który boleść wyszarpuje  
Rannym i padającym z chorób i zmęczenia.  
To oni są pacierzem chrześcijanina,  
Wołaniem o ratunek zapomnianych  
I skargą znieważonych,  
I nadzieją ostatnią ginących.

Są tęczą, która biegnie przez niebiosy  
Rzucona ponad ogniem wojen,  
Są chwałą wiary, która głosi,  
Że z bólu, nędzy, niepokoju  
Powstanie miłość, by zwyciężyć  
Wedle słów, które On nam przyrzekł.

przełożył Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Zygmunt WOJCIECHOWSKI

## KILKA SŁÓW O PIERWSZYM MILLENIUM

W związku ze zbliżającymi się uroczystościami Pierwszego Mille-  
nium Polski — redakcja gości na swych łamach cenną wypowiedź jed-  
nego z czołowych historyków-mediewistów polskich.

GOCI

Na grobowcu króla Bolesława  
Chrobrego (992—1025), zbudowa-  
nym w katedrze poznańskiej przez  
ostatniego z Piastów, Kazimierza  
Wielkiego (1333—1370), państwo  
Bolesława określone zostało jako  
„Regnum Sclavorum, Gothorum sive  
Polonorum“.

Tekst ten od dawna był przedmio-  
tem rozważań historyków polskich,  
w miarę jednak jak ustalała się  
pewność czternastowiecznego jego  
pochodzenia, słabła podstawa do  
wnioskowania żeń w odniesieniu do  
epoki Bolesława Chrobrego. Nie-  
mniej dla znakomitego polskiego an-  
tropologa, Jana Czekanowskiego, pa-  
rającego się również historią, auto-  
ra m. in. dzieła pt. „Wstęp do histo-  
rii Słowian“ (1927), tekst ten był  
jedną z głównych podstaw wnioskowa-  
nia o gockim początku państwo-  
wości polskiej. Jest rzeczą zupełnie  
zrozumiałą, że ta część rozumowania  
Czekanowskiego napotkała na opo-  
zycję ze strony historyków. Ostatnio  
dał jej wyraz prof. Józef Widajew-  
icz w książce pt. „Początki Polski“  
(1948). Krytyka napisu grobowego  
dokonana przez Widajewicza jest zu-  
pełnie słuszna, ale nie wynika z tego,  
jakoby ten autor uporał się z  
problemem gockim na ziemiach pol-  
skich.

O pobycie bowiem Gotów na zie-  
miach polskich świadczy nie tylko  
tradycja gocka, zapisana u Jordane-  
sa (VI w. po Chr.), ale i wiadomość  
Tacyta, zapisana w Germanii, i wia-  
domość Ptolemeusza, znana z jego  
opisu Sarmacji europejskiej. Wed-  
ług Tacyta mieszkają „za Lugiami“,  
według Ptolemeusza — koło  
rzeki Wisły „pod Wenedami“. Infor-  
macje te są zgodne, gdyż siedząc „za  
Lugiami“, tj. na północy-wschód od  
Łużyce i Śląska, siedziby mogli wła-  
śnie nad Wisłą.

Zagadnienie gockie łączy się naj-  
ściślej z zagadnieniem zasiedlenia  
Słowian na obszarze na północ od  
Karpát aż po wybrzeże Morza Bał-  
tyckiego. Wiadomo, że ostatnie wy-  
niki badań prehistoryków i lingwi-  
stów polskich biegną zdecydowanie  
w kierunku uznania słowiańskiego  
charakteru tych ziem we wzmianko-  
wanej epoce. Ostatnią syntezę w tej  
dziedzinie dał Tadeusz Lehr-Spławiński,  
w książce pt. „O pochodzeniu  
i praojczyźnie Słowian“ (1946).

Lehr-Spławiński dostrzega Słow-  
ian w Wenedach Ptolemeusza, ale  
również nazwę Lugów tłumaczy e-  
tymologicznie jako słowiańską. Tego  
samego zdania jest tenże autor, je-  
śli chodzi o plemię Mogilanów (Mu-  
gilones), zapisanych przez Strabona.  
Powszechnie z tym zasiedleniem  
słowiańskim łączy się i nazwę miej-  
scową Kalisz, zapisaną przez Ptole-  
meusza. Ale tym samym zauważyć  
by należało, że plemiona słowiańskie,  
w tym czasie nie mają już jednej  
wspólnej nazwy, a w szczególności,  
że tą nazwą nie jest już nazwa We-  
nedowie. Skoro bowiem obok Wene-  
dów mamy wyraźnie zapisanych Lu-  
gów, należy już dla tego czasu li-  
czyć się nie tylko ze zróżnicowaniem  
plemiennym, ale i ze zróżnicowaniem  
nazw plemiennych ludów słowiań-  
skich. O słuszności tego świadczy  
również niezwykłe interesująca wia-  
domość o plemieniu Wieleców (Ouel-  
tai), zanotowanych również przez  
Ptolemeusza. Są to według zgodnej  
opinii prehistoryków i historyków  
polskich protoplaści znanego plemie-  
nia zachodnio-słowiańskiego, wystę-  
pującego tak wyraźnie w epoce Kar-  
la Wielkiego.

Innym zagadnieniem jest krytyka  
twierdzeń o tzw. wschodniej Germa-

ni. Twierdzenia te poddał, już po  
wojnie, gruntownej analizie świetny  
prehistoryk polski Józef Kostrzew-  
ski. Przyjmuje on obecność i prze-  
jście przez ziemie później polskie Go-  
tów i Gepidów, ale wątpliwy jest o obec-  
ności na tych ziemiach Burgundów.  
Przyjąc też trzeba, że dalszy postęp  
badań w tej dziedzinie zależeć będzie  
zarówno od dalszego rozwoju badań  
prehistorycznych, jak też od łącze-  
nia nazw miejscowych i plemiennych,  
zapisanych przez autorów staro-  
żytnych, ze szlakami handlowymi  
tego czasu. Większą taką próbę za-  
wdzięczamy w polskiej literaturze  
naukowej prof. B. Bilińskiemu.

W każdym bądź razie wyłączenie  
Gotów i Gepidów na wybrzeżu  
bałtyckim w I i II w. po Chr. i na-  
stępne przejście ich przez ziemie pol-  
skie ku południowemu wschodowi są  
niewątpliwym faktem historycznym.  
To jest w ogóle pierworzędne zdarze-  
nie, o którym sądzimy, że otwiera  
rozdział nie tylko w historii Słowian,  
ale i w historii powszechnej.

Lehr-Spławiński, idąc zresztą za  
sposobami Widajewicza i przy-  
jmując, że w I stuleciu po Chr. na-  
stąpiło przesunięcie plemion Obod-  
rzytów i Wieleców z terenów nad  
dolną Odrą i Wisłą ku zachodowi,  
wiąże ten fakt właśnie z wyłączenie-  
m Gotów i ucieczką czy cofaniem  
się przed nimi części plemion nad-  
morskich ku zachodowi i północno-  
mu zachodowi.

Ten sam związek również zdecy-  
dowanie, zgodnie z obserwacjami M.  
Rudnickiego i K. Jażdżewskiego, po-  
między wyłączeniem Gotów i Ge-  
pidów i ich przesuwaniem się na-  
stępnie ku południowemu wschodowi  
a masową wędrówką Słowian po-  
przez Karpaty ku południu, a z  
kolei aż na daleki Półwysep Bałkań-  
ski. Nie ma żadnego innego zdarze-  
nia ani historycznie, ani prehisto-  
rycznie zaświadczonego, które by wy-  
tłumaczyły nam tę masową i bezład-  
ną ekspansję ku południu. F. Dvornik,  
pisząc na ten temat w r. 1926  
we wstępie do swej książki „Slaves,  
Byzance Rome au IX siècle“, mniemał,  
że ci Słowianie szli wprawdzie  
z obszaru na północ od Karpat, ale  
że punktem wyjściowym ich wędrówki  
były bagna Prypeci — zgodnie z  
dawniejszymi poglądami na obszar  
praojczyzny Słowian. Rezultaty badań  
prehistorycznych i zestawione z  
nimi teksty historyczne świadczą, że  
chodzi o ekspansję ku południu  
pierwotnego zasiedlenia terenów na  
północ od Karpat. Stwierdzenie to  
ilustruje zarazem ogromny krok po-  
czyziony przez badania prehistorycz-  
ne i historyczne.

Powstaje pytanie, jaka była przy-  
czyna tej ekspansji. Wskazaliśmy  
już wyżej na przyczynę główną, tzn.  
wyłączenie Gotów i Gepidów i ich  
marsz w kierunku południowo-  
wschodnim. Przyczynami bezpośred-  
nymi były prawdopodobnie: zagęsz-  
czenie demograficzne na obszarach  
na północ od Karpat i lęk, jaki wy-  
łączenie i wędrówka Gotów budzić  
musiała.

Jeśli z rozbiciem państwa gockiego  
przez Hunnów w IV wieku po Chr.  
łączyliśmy początek wędrówki ludów,  
to obecnie początki te w skali po-  
wszechności wiążą musimy z fak-  
tem wyłączenia Gotów na wybrze-  
żu bałtyckim i pierwszą ekspansją  
pod tym naciskiem ludności słowiań-  
skiej w kierunku południowym.

Z pobycem drużyn germańskich na  
ziemiach słowiańskich, później pol-  
skich, wiązaliśmy również ważne  
zdarzenia z zakresu historii instytu-  
cyj słowiańskich. O znaczeniu orga-  
nizacji rodowej w historii tych in-  
stytucyj powszechnie wiadomo. Po-

wstaje pytanie, kiedy to po raz  
pierwszy, a ściślej, w jakim to okre-  
sie, mogła się zaznaczyć pierwiastko-  
wa dekompozycja tego ustroju. Sta-  
łym antagonistą tego ustroju poprzez  
długie dalsze wieki jest organizacja  
państwowa. Jej początki to zatem  
początki rozkładu najdawniejszej or-  
ganizacji rodowej.

Na ślad zaś początków tej organi-  
zacji państwowej z konieczności pro-  
wadzi nas etymologia słowa „książe“  
z pragermańskiego „Kuninga“. W-  
prawdzie słowa tego nie ma w  
znanym zasobie językowym gockim,  
ale wiadomość Tacyta o ustroju mo-  
narchicznym Gotów skłania jednak  
do hipotezy o gockich wzorach tej  
instytucji na ziemiach polskich.  
Trudno bowiem dla tych najdawniej-  
szych czasów wskazać na inny histo-  
ryczny, tak wyraźny styk słowiań-  
sko-germański.

Powyzszych uwag nie rozumiemy  
w takim sensie, jakoby te najdaw-  
niejsze ksiąstwka słowiańskie po-  
wstały w drodze podboju dokonane-  
go przez Gotów. Natomiast jest rze-  
czą bardzo prawdopodobną, że wal-  
cząc z Gotami, naśladowano ich rów-  
nocześnie i formowano w I i II w.  
po Chr. pierwociny organizacji pań-  
stwowej na wzór gocki. Takie zresztą  
zdarzenie, jak przejście Gotów  
przez obszar ziem polskich, dawało  
okazję do porachunków plemiennych  
między Słowianami.

## PROBLEM NORMANÓW

Zupełnie natomiast negatywnie  
wypadnie ocena wpływów normań-  
skich na genezę państw w zachod-  
niej Słowiańszczyźnie, w Polsce zaś  
w szczególności. Poglądy, jakie w tej  
dziedzinie kształtowały się poczęły  
w dwudziestym stuleciu, miały przyczy-  
ny zdecydowanie polityczne i pozosta-  
wały bez żadnego związku z pozna-  
niami naukowymi. Niemcom hitlerow-  
skim, przygotowującym najazd na  
Polskę, potrzebne było ze względów  
propagandowych utrwalenie przeko-  
nania u siebie i poza swoimi grani-  
cami o braku zdolności państwowo-  
twórczych u Słowian w ogólności,  
u Polaków w szczególności. Równo-  
legle z tym urosła legenda o cywil-  
izacyjnym wkładzie Normanów w  
dzieje Europy średniowiecznej. His-  
torycy niemieccy z Berlin-Dahlem,  
gdzie redagowano specjalne tym i-  
deom poświęcone czasopismo pt.  
„Jomsborg“, imaginowali sobie, że  
Normanowie upatrywali tylko, gdzie  
istnieje jakiś lud pozbawiony zdol-  
ności państwowotwórczych, i tam  
zaraz posyłali stosowną państwo-  
twórczą ekipę.

Izolacja, w jakiej pozostawała  
nauka niemiecka w okresie hitle-  
rowskim, ułatwiała narastanie tych  
poglądów. Zapomniano, czego nie  
chciano pamiętać, jakimi okrutny-  
mi rabusiami byli Normanowie.  
Przypomniał to w r. 1939 znakomi-  
ty, tragicznie zmarły uczoney fran-  
cuski Marc Bloch. Przypomniał, w  
jakim stopniu rozbójnicze najazdy  
normańskie w IX wieku przyczyniły  
się do dekompozycji państwa karo-  
lińskiego, nade wszystko jednak raz  
jeszcze unaocznili rozbójniczy cha-  
rakter tych ekspedycji normań-  
skich.

Wyprawy rozbójnicze kierowały  
się oczywiście w te strony, gdzie  
coś było do rabowania lub  
gdzie z rabunkiem połączyć można  
było handel. Stąd obecność drużyn  
wareskich na Rusi. Ale też obecnie,  
zwłaszcza po doświadczeniach, jakie  
z teoriami normańskimi mieliśmy  
w odniesieniu do ziem polskich, z  
tym większym zrozumieniem odnosi-  
my się do poglądów nauki rosyjskiej,  
a zwłaszcza do wywodów, jakie w  
tym zakresie przedstawił uczoney ra-  
dziecki, akademik Grekow. Nie ne-  
gując obecności drużyn wareskich

na Rusi, wskazał na znaczny sto-  
pień zróżnicowania społecznego ów-  
czesnej Rusi, przypomniał także fakt  
nader szybkiego wtopienia się ele-  
mentów wareskich w społeczeństwo  
ruskie. Ale też stwierdzić trzeba,  
że Ruś Kijowska w X wieku była  
krajem gospodarczo kwitującym, któ-  
ry mógł przyciągnąć przybyszów w  
rodzaju drużyn wareskich.

Jakże inaczej było u ówczesnych  
Polan. Zapytać więc należy, co mia-  
łoby Normanów ciągnąć w tę stronę.  
Jeżeli urządzali oni wyprawy  
łupieżcze, to kierowały się one w  
stronę wybrzeży Bałtyku. Na wys-  
pie Wolin spotykamy ich wyraźnie  
od r. 986. Ale też ku tej wyspie jak  
też i ku sąsiedniemu Szczeciniowi  
ciągnęły równie łupieżcze wyprawy  
Mieszka I. Tam też, a nie w Gnieź-  
nie, przebiega granica styku polsko-  
normańskiego.

## WIELECI

Usuając z widowni początkowych  
dziejów Polski zagadnienie normań-  
skie, pragniemy na tym miejscu  
wskazać na inny problem, zgodny z  
rzeczywistością a do tego czasu nie-  
doceniony w badaniu naukowym.  
Mamy oczywiście na myśli związek  
tego problemu z dziejami Polski.  
Problem zaś ten to Wielci i ich  
stosunek do kształtującego się pań-  
stwa Piastów.

Wielci, czyli etymologicznie Lu-  
dzie Wielcy, znani są nam już z po-  
przednich rozważań. Wiemy, że  
wspomina o nich Ptolemeusz, acz-  
kolwiek w tym czasie siedzą zdaje  
się na prawym brzegu dolnej Wisły.  
Przesunięcie ich ku zachodowi do-  
konało się, jak to już wzmiankowa-  
no, prawdopodobnie pod wpływem wy-  
łączenia Gotów i Gepidów na połud-  
niowym wybrzeżu Morza Bałtyckie-  
go. Wtedy to wraz z Obodrzytami  
zmieścili siedziby i przesunęli się:  
Obodrzyci na teren dzisiejszej Me-  
klemburgii, Wielci na obszar współ-  
czesnej Brandenburgii.

Potem w źródłach o nich głucho,  
aż w r. 789 spotykamy ich w szacie  
organizacji państwowej. W tym cza-  
sie zdaje się są państwem złożonym,  
tj. zespołem ksiąstw plemiennych pod  
władzą księcia naczelnego. W r. 823  
spotykamy u nich znów księcia  
zwierzchniego, ale podlegli mu po-  
mniejsi książęta są jego braćmi.  
Jedna rodzina książęca zapanowała  
wiele widocznie nad całym tery-  
torium wielckim. Potem znikają  
wiadomości o ustroju Wieleców —  
wyjawszy informację o walkach  
między braćmi po śmierci wzmian-  
kowanego księcia zwierzchniego —  
i dopiero w X wieku dowiadujemy  
się o ustroju republikańskim związ-  
ku wielckiego, w którego skład  
wchodziły notorycznie cztery plemio-  
na. Ta zasada utrzymała się aż do  
upadku państwowości wielckiej, któ-  
ry dokonał się w początku wieku  
XII.

Wzmiankowany już uczoney, Józef  
Widajewicz, starał się w oparciu o  
tekst pisarza arabskiego Masudi-  
ego wypełnić kilkusetletnią lukę w  
dziejach wielckich, licząc od wieku  
II do VIII. Wątpimy, czy gdyby  
nawet w przekazie Masudi'ego tkwi-  
ły elementy tradycji, na tej drodze  
udało by się wspomnianą lukę wy-  
pełnić. Niemniej niewątpliwa ty-  
siącletnia historia Wieleców, licząc  
od wzmianki ptolemejskiej a kończąc  
na wieku XII, pozwala nieco lepiej  
zrozumieć stosunek powstającego  
państwa polskiego do jego północno-  
zachodniego sąsiada.

Do tego czasu zwykło się było mó-  
wić o państwie polskim i czeskim ja-  
ko państwach zachodnio-słowiańskich,  
szeregując obok nich inne ludy za-  
chodnio-słowiańskie jako plemiona.  
To postawienie sprawy musi być po-  
prawione. W świetle źródeł i postę-

pującego badania historycznego jest  
oczywiste, że w zachodniej Słowiań-  
szczyźnie istniały cztery wyraźne  
państwa: Obodrzytów, Wieleców, Po-  
laków i Czechów; obok tego wspom-  
nieć należy też o pierwocinach orga-  
nizacji państwowej u Słowaków,  
dość szybko wchłoniętej przez pań-  
stwo węgierskie.

Kształtujące się w X wieku pań-  
stwo polskie miało za swój punkt  
wyjścia Wielkopolskę. Naturalny  
szlak geograficzny prowadził z Wiel-  
kopolski poprzez ujście Warty ku  
Odrze, a poprzez Odrę ku jej ujściu  
do morza. Tu też była granica sty-  
ku z plemionami wielckimi. Naj-  
pierw na zachodnim brzegu środko-  
wej Odry, na zachód od dzisiejszego  
Frankfurtu nad Odrą, gdzie siedzia-  
ło plemię Lubuszan opanowane przez  
Mieszka I w X wieku. Dane wyko-  
paliskowe informują wyraźnie, że  
tutaj w X wieku fortyfikowano się  
w stosunku do Wieleców. Druga  
granica styku istniała u ujścia Od-  
ry. Szczecin leży na lewym brzegu  
Odry, a więc znajdował się w nie-  
wątliwym zasięgu Wieleców. Wy-  
raźnie to samo wynika ze źródeł w  
odniesieniu do plemienia Wolinian,  
którzy siedzieli na wyspie Wolin,  
jednej z dwu wysp (wschodniej) od-  
dzielających Zatokę Szczecińską od  
pelnego morza.

Wzmiankowano już o szczegó-  
łnym znaczeniu handlowym tych os-  
sad. Ale też bogate te osady miały  
warunki do przeciwstawienia się  
podbojowi idącemu od strony konty-  
nentu. Tak samo zresztą, jeśli chodzi  
o wyprawy Normanów.

Pomiędzy związkiem wielckim a  
organizującym się państwem pol-  
skim istniało silne powinowactwo je-  
zykowe. Wszak językoznawcy Słow-  
ian polskich i wielckich oraz obod-  
rzyckich zaliczają do jednej grupy  
językowej, tzw. lechickiej. Istniało  
powinowactwo w dziedzinie kultu.  
Mamy wyraźne ślady, że kult Swa-  
rożyca, bóstwa Wieleców, sięgał da-  
leko poza granice tego plemienia.  
Rewolucja pogańska, która zaszła w  
Polsce w XI wieku, dokonała się w  
przeważnej mierze właśnie pod pa-  
tronatem wielckim. Ale były i róż-  
nice. Wielci żyli w ustroju repu-  
blikańskim, ówczesni Polacy w ustroju  
monarchicznym. Poselstwo wie-  
leckie, które przybyło do cesarza  
Konrada II w r. 1029, wyraźnie us-  
skarżało się na ówczesnego króla  
polskiego, Mieszka II, jako „tyrana“.  
Wielci mieli następnie, jak to już  
wspomniano, silnie rozwinięte życie  
handlowe; Polacy żyli w formach  
ustroju rolniczego.

Tak jak przyćmione są w źród-  
łach dzieje Wieleców przez lat kil-  
kadziesiąt, tak też nie wiadomo  
o ich ówczesnym stosunku do pogań-  
skich Polan, siedzących na obszarze  
późniejszej Wielkopolski, protopla-  
stów późniejszych Polaków. Jest jed-  
nak rzeczą bardzo prawdopodobną,  
że plemiona wielckie blokowały Pola-  
kom drogę do ujścia Odry. Tę  
wytłumaczyć można znaczny pół-  
nocno-wschodni zasięg pierwotno-  
wo państwa polskiego.

Sytuacja zmieniła się dopiero od  
chwili, kiedy pokarolińskie forma-  
cje państwowe rozpoczęły akcję pod-  
bojową na terenach obodrzyckich i  
wielckich. Zdecydowanie poszedł w  
tym kierunku władca niemiecki z dy-  
nastii saskiej, Henryk I Ptasznik,  
po nim zaś jego syn i następca Ot-  
to I.

Ale imperium Ottona I miało in-  
ne zadania poza podbojem związku  
wielckiego. Wiadomo, wiele sił wy-  
magało opanowanie najazdów ma-  
dziarskich, wiadomo również, że wie-  
le uwagi zaprzętnęła Ottonowi I sprawa  
Włoch i uzyskanie korony cesar-  
skiej. Toteż gdy w ciężkiej bitwie  
stoczonej w r. 955 nad rzeką Raxą

Janusz ZABŁOCKI

# Szkoła rewolucyjnej dojrzałości

udało się Ottonowi I i margrabiemu Marchii wschodniej, Geronowi, pokazać Obodrytów i Wieleto, powstały naturalne warunki dla kooperacji pomiędzy Ottonem I i Geronem a państwem Piastów. Najpierw bowiem związek wielecki został przez klęskę nad Raxą poważnie osłabiony, dzięki czemu ówczesny panujący Polski, Mieszko I, mógł mieć większe szanse w prowadzeniu akcji podbojowej. Następnie z tego względu, ponieważ Otto I zaabsorbował wówczas poważnie we Włoszech — wszak w r. 962 przyjął tam koronę cesarską — tym chętniej patrzył na możliwość sprzymierzenia za wschodnimi granicami związku wieleckiego. Właśnie z r. 963 mamy pierwsze wzmianki, które prowadzą nas na ślad układu zawartego pomiędzy Mieszkiem I a Ottonem I i Geronem. Mieszko przyjął chrzest, a tym samym związek wielecki tracił warunki dla ekspansji kulturowej, a w ślad za tym i politycznej. Zawarty został następnie wyraźny układ polityczny pomiędzy Niemcami a Polską. Mieszko zobowiązał się do opłaty trybutu z części swego państwa, w zamian jednak określony został jako „amicus imperatoris“ i uzyskał wolną rękę do działań na Pomorzu Zachodnim w stronę Szczecina i Wolina.

W całej ostrości widzimy zagadnienie wielecko-polskie następnie w latach po r. 983, w którym to roku wybuchło wielkie powstanie w związku wieleckim przeciwko Niemcom. Ówczesny panujący Polski, Mieszko I, zbliżył się ponownie do Niemiec, a następnie i syn jego Bolesław Chrobry. Prawie corocznie posilkują Niemców w ich wyprawach przeciwko Wieletom. Na tym tle dochodzi następnie, w r. 1000, do znanego układu zawartego w Gnieźnie pomiędzy Ottonem III a Bolesławem Chrobrym. W wyniku tego układu dokonuje się znaczna rozbudowa organizacji kościelnej polskiej. Polska otrzymuje metropolię i czterech biskupów diecezjalnych. Geograficzny rozkład stolicy metropolii i biskupstw diecezjalnych znów wyraźnie wskazuje, że w pierwszym rzędzie chodziło o otoczenie Wieleto krajem chrześcijańskim od wschodu.

Wiadomo, że w początku XI wieku doszło do wielkiej zmiany sojuszu w ówczesnej Europie. Panujący niemiecki Henryk II sprzymierzył się z Wielecami przeciwko panującemu polskiemu Bolesławowi Chrobremu. Ale nie mogło to wpłynąć na polepszenie stosunków wielecko-polskich. W Niemczech musiano patrzeć z niepokojem na upadek chrześcijaństwa w związku wieleckim i kiedy syn i następca Mieszka II, książę Kazimierz Odnowiciel, podporządkował się Niemcom (1038), poparło go, a przede wszystkim nie sprzeciwiono się odnowieniu w Polsce organizacji kościelnej z metropolią na czele. Nie sprzeciwiono się, mimo że ostry protest wnosilo w tej sprawie arcybiskupstwo magdeburskie, nie cofające się przed sporządzeniem falsyfikatu aktu erekcyjnego arcybiskupstwa magdeburskiego i nie cofające się przed oddaniem tego falsyfikatu do potwierdzenia dwu kolejnym papieżom, Benedyktowi IX i Leonowi IX.

W konkluzji usuwamy z widowni dziejowej mit normański, wprowadzamy natomiast na nią państwa obodryckie i wieleckie. Stosunki polsko-niemieckie ustalamy dla XI i XII wieku nie jako stosunki pomiędzy dwoma partnerami stojącymi wobec siebie twarzą w twarz. Dopiero opanowanie kraju Wieleto, czyli późniejszej Marchii brandenburskiej przez Niemcy otworzy nowy rozdział w historii Polski i Niemiec.

Zygmunt Wojciechowski

Przed paru miesiącami wyszła z druku od dawna oczekiwana część druga pamiętnika-autobiografii Lucjana Rudnickiego (1). Każdy, kto przeczytał część pierwszą, zostawiając młodemu Lucjanowi wyrzuconego z fabryki Zylbersztajna na bruk „Łodziemiasta“ z niewątpliwym zaciekawieniem wyciągnie rękę po tę książkę, obrazującą dalszą jego drogę. A droga ta to nie tylko indywidualne dzieje autora; to w wielkim stopniu również dzieje polskiego ruchu robotniczego. Rudnicki, należąc do pokolenia pamiętającego początki partii socjalistycznych w Polsce, przechodzi wraz z ruchem robotniczym szmat drogi, biorąc udział w jego wzrastaniu, porażkach i zwycięstwach nie jako obserwator z zewnątrz, ale jako bezpośrednio w nich zaangażowany uczestnik. Równocześnie przeżywa Rudnicki inną drogę wewnątrz samego ruchu socjalistycznego: jest to droga poszukiwania w nim nurtu najbardziej konsekwentnego, najautentyczniejszego socjalistycznego. Autora „Starego i nowego“ zawiedzie to poszukiwanie od elektrycznej doktrynalnie i nacjonalistycznej Polskiej Partii Socjalistycznej do socjaldemokracji i K.P.R.P.

Pamiętamy Lucjana Rudnickiego z pierwszej części jego pamiętników jako rozwichrzonego, „zielonego“ młodzieńca, opętanego bardzo jeszcze mglistymi wizjami jakiegoś wojska świętej Jadwigi, które ma przynieść Polsce wyzwolenie. To jest cały zasób ideologii społecznej, który przyniósł ze sobą do „Łodziemiasta“ z rodzinnego Sulejowa. Rudnicki z drugiej części jest już innym człowiekiem. Pewnie, zmiany nie przychodzą od razu. Jeszcze jako okręgowy partyjny w Radomiu jest — jak sam to stwierdza — „sekiarzem z nikłym zasobem wiedzy społecznej, przeplecionej ewolucjonizmem Herberta Spencera, z wolnomyślnymi poglądami i kaszą fizjologiczną w głowie“. Jeszcze przez czas długi socjalizm będzie przypominał w jego wyobraźni niebo, a partia owo mistyczne wojsko świętej Jadwigi. „Będąc ateistą — pisze — rozmawiałem w dalszym ciągu po katolicku, jak mnie nauczyli w domu i w kościele. Zamieniło się tylko niebo na socjalizm, piekło na ustrój kapitalistyczny, czyściec na drogę do socjalizmu. Byłem dumny, że nie hołduję „bałwochwaltwu“, utopiom Morusów, Owenów, Furierów, lecz wyznaję socjalizm naukowy Marksa i Engelsa“.

Ale i ten ateizm, którym tak chętnie Rudnicki, jest w istocie płytki, uzasadniony raczej społecznie niż filozoficznie. Pamiętamy z części pierwszej pamiętników, z czego się zrodził: z wybuchu goryczy i buntu wobec księdza, który nie zadawszy sobie trudu wniknięcia w duszę tego dwudziestoletniego „socjalisty“ nakazuje mu z konfesjonału niezwłocznie zerwać z towarzyszącej z P.P.S.

Casus Rudnickiego, niewątpliwie typowy, jest ciężkim oskarżeniem tych wszystkich duszpasterzy, którzy nie podjęli wysiłku głębszej analizy i obiektywnej oceny zjawiska socjalizmu, — duszpastry, dla których socjalizm przedstawiał się jedynie jako „grzech“, — całkiem na równi z wykroczeniami przeciw szóstemu przykazaniu.

Rudnicki jest również jeszcze długo analfabetą w problematyce wewnątrzpartyjnej. W Warszawie odbywa się VII zjazd PPS, na którym w ostrej walce między „lewicą“ a „prawicą“ waga się dalsze losy i linia polityczna partii. Cóż na to Rudnicki, obecny w charakterze delegata? „Jeżeli idzie o politykę, to mnie na przykład podobały się wszystkie przemówienia z wyjątkiem kilku zdań Malinowskiego. I z lewicy i z prawicy mówiono dobrze i gdyby warunki

bezpieczeństwa sprzyjały, oklaskiwałbym wszystkich“.

Ale mimo tych wszystkich braków widać u Rudnickiego niewątpliwie nieustanny rozwój. Trzysta stron książki jest historią niepowstrzymanej ewolucji jej autora a zarazem bohatera, ewolucji w wyniku przekształcenia się prawie na naszych oczach z niedowarzonego zapaleńca w działacza rewolucyjnego o coraz większej jasności celu, coraz bardziej świadomego i dojrzałego. Szkołą, która wywołuje tę ewolucję jest sama praktyka rewolucyjna. A pod tym względem młody Rudnicki ma dorobek zaiste bogaty. Naprzód robota partyjna w Łodzi, dalej przeniesienie do Zagłębia i „zagraniczny“ pobyt w Krakowie i Bielsku; po powrocie aresztowanie i wędrowna poprzez więzienie piotrowskie i sieradzkie do moskiewskich Butyrek, wreszcie zesłanie hen aż do archangielskiej gubernii — zesłanie zakończone zresztą udaną ucieczką do kraju. A wtedy na nowo powrót do roboty partyjnej P.P.S. okręgu radomsko-kieleckiego (tym razem już jako delegat cekaeru), utarczki z esdekami w Częstochowie, delegowanie do Białegostoku, w końcu zaś raz jeszcze aresztowanie i droga przez Piotrków do więzienia kaliskiego. Czy nie dosyć na człowieka mającego dwadzieścia parę lat?

Ale właśnie ta ciężka walka rewolucyjna uczy i rozwija.

W zetknięciu z rzeczywistością, przyskają stopniowo wszystkie owe młodzieńcze bańki mydlane. Praktyka rewolucyjna szybko demaskuje jałowość abstrakcyjnych spekulacji myślowych i papierowych koncepcji. Z mnogości różnorodnych ideologii rewolucyjnych utrzymuje się tylko te, które najwyraźniej tłumaczą rzeczywistość społeczną i które polecają środki najbardziej skuteczne. Nie wystarczy bowiem, aby myśl szukała wcielenia w rzeczywistość, trzeba jeszcze aby rzeczywistość szukała myśli. Ideologia rewolucyjna jest tym bardziej dojrzała im bardziej odpowiada temu warunkowi. Nowy, dojrzały Rudnicki ukazuje się naszym oczom stopniowo w miarę odrzucania w ogień walki naiwne utopijnych lub opartych na fantazji poglądów na przewrót socjalistyczny. A takich złudzeń było na jego drodze nie mało. Był czas na przykład, kiedy przeniknięty wiarą w słuszność i nieodparty urok socjalizmu mniemał, że wystarczy tylko dotrzeć do ludzi z socjalistyczną „dobrą nowiną“, aby z miejsca stali się jej wyznawcami i ruszyli do walki. Tymczasem rzeczywistość wykazała, że ten tani optymizm jest nieuzasadniony.

„Przemoc i terror — napisze później — wywołują głębokie zmiany w duszach. Można ludzi przekonać, a oni po staremu będą tkwić w posłuszeństwie i uległości wobec ciemiężców, nie tylko z tchórzostwa, ale i z bezwładności. Trzeba nadzwyczajnego impulsu aby ich ruszyć, aby słowa prawdy budziły dla nowej idei gotowość do walki o nią“.

Rewolucja wymaga realizmu i skuteczności. Do jednego i drugiego konieczna jest wiedza. Nauka nie była w tych czasach dla robotnika jedynie zadowoleniem ciekawości. Była instrumentem walki rewolucyjnej, kluczem do nowego lepszego świata. Żarliwość, jaką objawiał młody Rudnicki, wykorzystując dla rozszerzenia swej wiedzy każdy strzęp drukowanego papieru i każdą rozmowę, nie była zjawiskiem izolowanym i indywidualnym. Reprezentowała tęsknotę, którą żywotowo przejawiała klasa robotnicza doby kapitalizmu.

Jest to era wielkich odkryć i wynalazków oraz niebywałego dotąd rozwoju techniki. Siła ludzkiego rozumu, która potrafiła zaprząć żywioły w służbę człowiekowi zakławszy je

w lokomotywe czy maszynę tkacką, napełnia głębokim, optymistycznym przekonaniem, że możliwa jest podobna przebudowa zlej rzeczywistości społecznej, jeżeli tylko nowi Wattowie odkryją rządzące nią prawa i wskażą jak je wykorzystać dla dokonania przewrotu społecznego. „Nie siłą a sposobem“ — mawiają zawsze robotnicy, ilekroć przy pracy przychodzi im dokonać wysiłku, który przerasta ich siły fizyczne. Naładowanej beczki nie dźwigną na wóz dwaj ludzie, ale ci sami ludzie wtoczą ją tam bez trudu po przystawionej desce, stanowiącej równię pochyłą. O znalezienie podobnego „sposobu“ chodzi przy rewolucji socjalistycznej, która ma być przede wszystkim nieznanym dotąd w historii. Praca fizyczna uczy celowości wysiłku, racjonalnego i wydajnego gospodarowania własnymi siłami przez użycie odpowiednich narzędzi; klasa robotników najemnych, przenosząc codziennie doświadczenie swej pracy na rewolucję poszukiwała jej naukowej teorii.

Dopiero nauka miała wskazać rewolucji środki i zapewnić jej powodzenie. W duszę młodego Lucjana Rudnickiego mocno zapadły się słowa Łęckiego, pierwszego socjalisty, którego napotkał w życiu, a który mu nakazywał „uczyć się dniem i nocą“. Dla Rudnickiego podobnie jak dla tylu jego towarzyszy, którzy nie mieli warunków dla uzyskania normalnego wykształcenia, szkołą był ruch socjalistyczny. Nie darmo jednemu z rozdziałów traktującemu o doświadczeniach więziennych daje nam tytuł „Uniwersytet“. Nie ma w tym żadnej fanfaronady. Więzienie polityczne zapewniało w pewnym stopniu owe warunki do nauki, których robotnikowi brakło w ustroju kapitalistycznej „wolności“, dawało wiele wolnego czasu, pozwalało na bliższe zetknięcie się z ludźmi bardziej wykształconymi oraz na minimalny choćby dostęp do książek. Zauważmy w jak lirycznym ton wpadała pamiętniki Rudnickiego, kiedy mówi o książkach z piotrkowskiej biblioteki więziennej, choć był to chaotyczny zbiór mieszczańskich dzieł bynajmniej nie najstrawniejsze dla samouka. „Zaraz na wstępie przeniesiono mi studium Ribota „O wyobraźni twórczej“. Gryzłem je w ciągu dziesięciu godzin, z rozpaloną głową, trzykrotnie, z coraz większym zadowoleniem i pożytkiem. Tyle słów, zdań i okresów niezrozumiałych! Powtarzałem je po kilka razy, usta sobie poparzyłem obiadem z popiechu, by w końcu z radością stwierdzić: zrozumiałem, wszystko zrozumiałem!... Antropologię Tylora czytałem z taką rozkoszą jakbym osobiście udoskonalił narzędzia lub robił nowe odkrycia, a gdy mi niespodziewanie dostarczono pierwszy tom „Socjologii“ Spencera obawiałem się, aby żandarmom nie przyszło do głowy uwolnić mnie zanim przeczytam całość“. Czytając te wyznania pomyśliłbym mimochodem o tylu ziemiańskich synkach, którzy zajmowali w tym samym czasie w charakterze „żelaznych studentów“ ławy uniwersyteckie, traktując studia jako czas, w którym należy się „wyszumieć“.

Ale z autobiografii Rudnickiego widać nie tylko głód wiedzy, która by zapewniła skuteczność społecznemu działaniu. Przebija z niej również głód poznania głębszego sensu bytu. Prawda, której szuka, nie zamyka się w ramach nauki, wyznaczającej środki socjalnego przewrotu; ma ona również odpowiedzieć na zasadnicze pytania, nad którymi głowi się ludzkość od początku swego istnienia. Stąd to na pozór abstrakcyjne i jałowe dla sprawy rewolucji, a przecież tak głęboko ludzkie i zasadnicze dla jej pełnego powodzenia zainteresowanie filozofią. Historia ruchu socjalistycznego notuje nie tylko żywiołowy pęd mas do wiedzy przyrodniczej i społecznej; notuje także nieznaną chyba dotąd w dziejach pasję i żarliwość, z jaką prości i niewykształceni ludzie usiłovali przeniknąć tajemnicy filozofii. Ta ostatnia przestaje być dyscypliną zamkniętą w murach seminarium uniwersyteckich i zadawalającą snobizm wąskiej grupy wtajemniczonych. Po raz pierwszy chyba w takich rozmiarach wychodzi na ulicę. Wzujemy się w tę pasję, z jaką Rudnicki w więzieniu na Butyrkach dyskutuje ze swym najświeższym przyjacielem, ukraińskim eserowcem Krupeczką na temat Kanta i jego noumenów. „Tylko my dwaj z całej gromady rozumieliśmy fakt, że lampa jest lampą — jeno powierzchownie, jako fenomen; lampa w swej istocie, jako noumen, nigdy nie będzie poznana. Śmiano się z nas, a my, mając przed sobą w każdej rzeczy niezgłębione możliwości, patrzyliśmy na tepaków z politowaniem“. Przypomnijmy sobie jego dysputy w pociągu ze studentem-büchnerowcem i poządlwocę, jaką w nim budził grubym, w półekórek oprawny tom Büchnera „Kraft und Stoff“. Albo niespodziewaną, „od pierwszego wejrzenia“ przyjaźń z towarzyszem Frankowskim, fryzjerem z Warszawy. „Dyskutowaliśmy głęboko w noc, dzieląc się przeżywanymi wzruszeniami, obserwacją zjawisk i tęsknotą do poznania istoty rzeczy. Tylko jedną jeszcze osobą poznałem w życiu, która się tak entuzjastycznie Emanuelem Kantera jak Frankowski. Czarowała nas jednakowo bezgranicznością kosmosu i i mikrokosmosu“.

W rzeczywistości filozofia nie była bynajmniej jakimś luksusem zbędnym dla rewolucjonisty, jak to często zarzucali ci „socjaliści“, których świadomość przostawała na poziomie określonym w Niemczech mianem „nur Gewerkschaftler“. Ludzie ci chcieli oderwać socjalizm od wszelkich zbędnych ich zdaniem filozoficznych uzasadnień, a skierować go wyłącznie na zabieg o doraźny korzyści robotnika w kapitalistycznej fabryce i ustroju parlamentarnym. Historia wykazała, że wszystkie tego rodzaju próby kończą się z reguły załamaniem w oportunizm i rozkład ideowy. Zwycięstwo socjalizmu uwarunkowane jest zdolnością ruchu do wydobycia z mas w momencie przewrotu maksimum utajonej w nich energii i heroizmu. A przecież żaden

(ciąg dalszy na str. 8.)

## CZYTAJCIĘ

» S Ł O W O

POWSZECHNE«

Franciszek WITOWICKI

# Z zagadnień ludnościowo-politycznych Francji

Zagadnienie depopulacji Francji jest tematem bardzo starym i na ogół dość dobrze znanym. Wiemy, że od lat 150 stan ludnościowy tego kraju wykazuje niepokojące objawy, które wywołały ogromną literaturę, większe jeszcze zaniepokojenie opinii publicznej i wpłynęły w sposób wysoce znamienny na strukturę materialną i psychiczną państwa. Kiedy ludność wszystkich bez wyjątku krajów Europy wykazuje w ciągu XIX wieku stałe tendencje zwykłe, które doprowadzają do tego, że w poszczególnych państwach podwaja się ona i potraja, wykazując ponad to poważny współczynnik naturalnego przyrostu rocznego, to we Francji odsetek ten jest tak niewielki i coraz to więcej malejący, że znajdował się on na pograniczu stagnacji, a nawet i cofania się. Nie są to sprawy blahe, bo podczas gdy otaczające potęgą w epoce napoleońskiej Francję kraje były liczebnie od niej słabsze, to koniec stulecia, wysunął je tak dalece naprzód, iż przewyższyły one Francję liczbą swej ludności i tempem stałego rocznego naturalnego przyrostu. W stosunku do Niemiec czy Włoch została Francja w tyle, bo gdy przed stu laty przodowała ona swym potencjałem, to początek XX wieku postawił ją w tyle poza państwami, które poprzednio nie mogły nawet w przybliżeniu się z nią równać.

Sytuacja Francji była pod tym względem przed pierwszą wojną światową wręcz niepokojąca; uderzono w wielki dzwon alarmowy i zastosowano wszelkie możliwe środki, aby zapobiec wymieraniu narodu francuskiego. Przypisać trzeba, że ów ruch populacyjny wydał pewne rezultaty i spowodował, że nastąpiła pewna nie tylko stagnacja w dotychczasowym tempie zmniejszania się przyrostu ludności, ale od pewnego okresu dają się zauważyć tendencje zwykłe, ludność wzrasta co prawda bardzo powoli, ale niemniej stale. Jeśli przydomek „wymierającego narodu“ został od Francji na teraz przynajmniej odsunięty, nie znaczy to bynajmniej, aby problem ludnościowy nie miał stanowić tam jednego z najważniejszych, jeśli zgoda nawet najistotniejszego problemu dla przyszłości i polityki kraju, który dzięki swej wspaniałej historii i wielkim zasługom geniuszu rasy zajął tak wybitne stanowisko w dziejach cywilizacji i kultury.

Na przyczyny, które spowodowały katastrofalny kryzys w dziejach tego narodu pod względem struktury populacyjnej można zapatrywać się różnie i wyszukiwać bardzo wiele przyczyn powodujących kryzys, jaki — mimo wszystkiego — wykazuje oblicze Francji. Pozostanie niezaprzeczoną fakt, iż kraj, którego ludność wykazywała takie nadwyżki, że była w stanie począwszy od XVIII stulecia skolonizować Kanadę i zawiadnąć południową partią dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki (Luisiana, Nowy Orlean, Floryda), który jeszcze w epoce napoleońskiej był w możności przeciwstawić swój potencjał ludnościowo-militarny nieomal że całej Europie, zaczął potem wprost nagle cofać się. Niewątpliwie długoletnie wojny Wielkiej Rewolucji i napoleońskie wycieńczyły wydatnie kraj w sensie ludnościowym. Nieustanne pobory wojskowe, sięgające coraz to głębiej w strukturę ludnościową kraju, powodowały, że wszystko co było silne, zdrowe, mocne i przedstawiało jakąś wartość bojową i fizyczną opuściło warsztaty zwykłej pracy. Ludzie ci jeśli na polach bitew nie pozostawili swych kości, powrócili do domów jako inwalidzi i schorowani przed-

stawiając oczywiście z punktu widzenia reprodukcyjnego wartość trzeciorzędą. Odbiło się to na następnych pokoleniach, które zrodzone z ojców osłabionych fizycznie, były coraz to słabsze i o coraz to mniejszej sile witalnej. Do tego przyszła jeszcze wojna francusko-pruska z 1870 r., która po pół wieku spokoju wstrząsnęła znowu siłami Francji i znowu uszczupliła jej męskie pogłowie. Zdaje się jednak, że stos pacierzowy Francji pod względem ludnościowym musiał być już wcześniej wstrząśnięty wielkimi wyprawami kolonialnymi i emigracją poważnego odsetku ludności do tych zamorskich krajów. Ostatecznie nie chorzy, słabi i cherlaki zdobywają laury odkrywców nowych lądów i dokonują zaboru nowych obszarów.

Wielki dobrobyt, jakim odznaczała się Francja w XIX wieku, którego nie nadwyrężyła nawet pięcioletniowa kontrybucja na rzecz Niemiec za przegraną wojnę z 1870/71 r. spowodował, że w szerokich warstwach ludności zaczęła się szerzyć pomyślność materialna wyrażająca się w rozrastaniu się miast, powstawaniu wielkiego przemysłu i modernizacji kraju na stopę wymogów czasu. Ludzie myśleli aby dobrze żyć, dobrze zarabiać i mieć jak najmniej trosk. Pośród wzbogaconej sfery burżuazyjnej, która z właściwą narodowi francuskiemu skrzętnością nagromadziła ogromne nieraz zasoby, począł zdobywać sobie miejsce maltuzjanizm, byle tylko przez nadmiar dzieci nie uszczuplił z taką chciwością nagromadzonej substancji majątkowej. System jednego, dwojga, wyjątkowo więcej dzieci stawał do konkurencji z zupełną bezdzietnością i zaczął powodować, że w całym szeregu dziedzin zaczęły się ujawniać coraz to dotkliwsze luki pod względem ludnościowym, których zapewne nie było rzeczą prostą. Ogromne miasta z Paryżem na czele pochłaniały jak Moloch coraz to nowe zastępy ludności potrzebnej do obsługi sieci kolejowej, jaka pokryła gęsto całą Francję, wielkich fabryk, biur, handlu, całej aparatury nowoczesnego życia, której miasto samo o znikomej ilości własnego naturalnego przyrostu dostarczyć nie mogło. Zaczął się wówczas objawiać napływ ludności wiejskiej, która opuszczając zaczęła pracę na roli nie dlatego, aby ziemia nie była w stanie jej wyżywić, ale dlatego, że praca ta wymagała większego wysiłku i trudniejszych warunków egzystencji, niż życie miejskie. W następstwie tego zauważyć się dało w całej Francji charakterystyczne zjawisko: ośrodki miejskie wzrastały i rozrastały się do ogromnych rozmiarów, a po wsiach ubywało coraz to więcej ludności, której nie było kim zastąpić. Liczba mieszkańców wiosek spadać zaczęła w sposób nieraz katastrofalny, pola leżą odłogiem, a zjawisko wymarłych, a raczej opuszczonych wiosek, lub zamkniętych i porzuconych domów nie jest bynajmniej czymś odosobnionym. Jadąc koleją zwłaszcza w południowej Francji widzi się wielkie puste przestrzenie porzuconych pól, których nie ma komu uprawiać i walcących się domów mieszkalnych wiejskich, w których nie ma komu zamieszkiwać. Właściciele woleli pozostawić je swemu losowi, przeniesić się na wygodniejszy i łatwiejszy tryb życia miejskiego niż uprawiać ziemię odziedziczoną po przodkach. Temu wyludnianiu się wsi i zmniejszaniu się uprawnej powierzchni towarzyszyło inne niezmiernie charakterystyczne zjawisko. Oto zapotrzebowanie konsumpcyjne na produkty rolne, bynajmniej nie zmniejszyło się we Francji. Zdać by przeto się mogło, że rolnictwo

powinno być dobrze opłacającym się interesem i pewnym źródłem dochodu, a fakt ten powinienby był stanowić hamulec dla odpływu ludności ze wsi; było jednak inaczej. Przyczyny szukać jednak należy w innej zupełnie części świata. Francja stała się w toku XIX wieku krajem kolonialnym i zdobyła poważne obszary w północnej i środkowej Afryce. W Algierze, Tunisie i Maroku warunki uprawy rolnej są bardzo pomyślne, niektóre warzywa zbiera się po dwa a nawet i trzy razy do roku, jest ich zatem wbród a tubylcza ludność stanowi bardzo tani, bez porównania tańszy materiał pracowniczy, niż jej odpowiedniki w macierzystej Francji. Transport morski niedaleki i niedrogi; z Tunisu lub Algieru jedzie się do Marsylii do dwóch dni. Doszło przeto do tak paradoksalnych sytuacji, że w bardzo wielu ośrodkach miejskich nie opłacało się właścicielom podmiejskich ogrodów i gruntów prowadzić na większą skalę uprawy warzyw, stanowiących we Francji ważną pozycję spożywczą, bo pomidory przywożone z Algieru były tańsze niż np. mogły one być w takiej Grenoble, otoczonej okolicą nadającą się do ich hodowania i gdzie mogły być dowożone do miasta z odległości kilku zaledwie kilometrów. Kiedy podczas II Wojny Światowej komunikacja z Algierem stała się najpierw utrudniona a następnie zupełnie ustała, sytuacja zrobiła się tragiczna, bo miasto cierpiało na brak warzyw, a tuż pod jego niemal murami leżały odłogi pola, świetnie do ich uprawy się nadające; brakowało narzędzi, brakowało ludzi, a nade wszystko ochoty, boć nikt nie wątpił, że gdy wojna się skończy „niebawem“ wrócą dawne, wygodne czasy, przywóz z zamorskich kolonii zostanie wznowiony i odpadnie potrzeba zajmowania się mozolną pracą polową. Ale głód, jaki panował przez lat sześć, otworzył oczy szerzej myślącym ludziom uświadamiając im doniosłość sprawy przywrócenia krajowi jego samowystarczalności rolnej, przez wznowienie uprawy wszystkich leżących odłogiem pól i zagospodarowania nieużytków. Niestety — wszystko się rozbiło o jedną drobną, małą rzecz: brak ludzi...

Ten brak ludzi, który już od wielu dziesiątków lat dawał się we znaki nowoczesnej Francji, musiał spowodować, że gdy nie było dostatecznej własnej, narodowej siły roboczej, trzeba było stworzyć ją w sposób sztuczny, przez import z zagranicy. Francja już od bardzo dawna stanowiła punkt atrakcyjny dla cudzoziemców przybywających tam ze wszystkich części świata. Więc przede wszystkim otwarto szeroko wrota dla ludności z kolonialnych posiadłości francuskich, która licznie napływać zaczęła do tego pozbawionego wszelkich rasowych przesądów kraju. Potem tradycyjnie przyjmowano uchodźców, którzy ciągnęli chętnie do Francji jako do tej prawdziwej szampionki wolności i swobody; wreszcie trzeba było oglądać się za stałym dopływem siły roboczej, której krajowi brakowało. Ta siła robocza przedstawiała istną wieżę Babel, a składali się na nią Włosi, Hiszpanie, Polacy, Jugosłowianie, Belgowie, Niemcy, Rosjanie, Szwajcarzy, Portugalczycy, Czesi, Słowacy, nie mówiąc już o innych. Ale wszystkie te ludy nie miały dostępu do każdej pracy, a nade wszystko do „lekkiej“, bo ta była i jest zarezerwowana wyłącznie dla rodowitych Francuzów. Ci cudzoziemcy mogli przeto znaleźć tylko taką, jakiej nie chcą wykonywać Francuzi, a więc: praca w kopalniach węgla pod ziemią, praca na roli, robotników bu-

dowlanych, drogowych, kamieniarzy, drwali, wielkie roboty publiczne, praca w hutach i wielkich fabrykach w działach ciężkich, służba domowa itp. W tych dziedzinach cudzoziemiec może otrzymać pracę nie tylko bez trudności, ale nawet „z przyjemnością“; biada mu jednak jeśliby zapragnął zajęcia „łżejszego“ np. sprzedawcy w sklepie, dozorca, nie mówiąc już o pracy biurowo-umysłowej. A jeśli nawet uda mu się przez jakiś szczęśliwy los ją zdobyć (np. przez zawarcie małżeństwa z Francuzką, lub wykazanie się dyplomem naukowym francuskim) to i tak pozostanie mimo i wbrew najlepszym nawet kwalifikacjom zawsze na szarym końcu.

Brak sił do pracy spowodował stany wręcz niewiarogodne. Przed II Wojną Światową obliczano ilość cudzoziemców we Francji na 3 miliony (na 40 milionów mieszkańców); pomiędzy nimi na pierwszy plan wybijali się Włosi, a zaraz po nich Polacy z cyfrą pół miliona. Polacy koncentrowali się głównie na północy w kopalniach węgla i wielkich fabrykach, częściowo na południu, Włosi byli rozsypani po całym kraju ale wielkie ich skupiska znajdowały się w południowo-wschodniej i zachodniej Francji. Gdy wybuchła wojna, zgodnie z przewidywaniami polskimi, ilość Polaków we Francji powinna była wystarczyć, aby bez trudności utworzyć armię w sile 100.000 ludzi w drodze przymusowego poboru i powołania pod broń rezerwistów. Siła poważna, dla której odpowiednie kadry były już przedtem przygotowane. Atoli sprzeciwiły się temu władze francuskie, bo gdyby plan ten został przeprowadzony, wówczas stanęłyby kopalnie węgla operujące się na pracy rąk polskich górników. Zamiast przymusowego poboru oparto się na zaciągu ochotniczym, o ile dany robotnik Polak nie był w swym dotychczasowym miejscu pracy niezbędny. Po wybuchu wojny przystąpiono natychmiast do internowania Niemców, których liczba nie była zbyt duża, ale skoro w dniu 10 czerwca 1940 r. Włochy przystąpiły do wojny i postanowiono zastosować ten sam środek w stosunku do Włochów, sytuacja okazała się tragicznie niewykonalna. W południowej Francji (w Langwedocji) pokażo się, że gdyby zarządzenie o internowaniu obywateli włoskich wykonać, to całe życie publiczne zostałoby zniweczone, przede wszystkim stanęłoby rolnictwo, gdyż w całych działach niezmiernie ważnych ciężkie prace wykonywali, z braku Francuzów, Włosi. W samej Marsylii na 600.000 ludności liczone do 100.000 Włochów! Wobec absurdalnej sytuacji ograniczono się do internowania „na pokaz“ bardziej pronosowanych osobistości, zadawając się wzięciem od pozostałych obywateli włoskich pisemnych deklaracji lojalnego zachowania się podczas wojny, co było sprzeczne z postanowieniami IV Konwencji Haskiej z 1907 r., stawiało ich w konflikt z przepisami karnymi ojcystymi, ale było konieczne, gdyż innego wyjścia nie było. W całym znowu szeregu działów życie zupełnie podczas wojny zamierało, albo było podtrzymywane przez cudzoziemców, którzy niepociągając jak rodowici Francuzi do służby wojskowej, stanowili ważny czynnik umożliwiający jakie takie podtrzymywanie funkcji publicznych. Oczywiście wszystko pod oficjalną etykietą francuską, byle tylko pozory były utrzymane. Wielu intelektualistów, którzy nie mogli znaleźć pracy jako robotnicy fizyczni, mogło się utrzymać na powierzchni współpracując z pismami francuskimi, ale pod pseudonimem francuskiego nazwiska.

Wglądawszy w strukturę kraju, w stosunki lokalnego środowiska można się było przekonać ze zdumieniem, że poza oficjalnymi cudzoziemcami opatrzonymi „Kartą tożsamości cudzoziemca“, znajdowało się jeszcze na każdym kroku bardzo dziwnych „Francuzów“: ojciec jakiś tam Słowianin osiadły jako azylant we Francji nauczył się tyle po francusku, że po trzech latach pobytu mógł dzięki jakiejś takiej znajomości języka i silnym barkom (był murarzem) uzyskać obywatelstwo francuskie, matka Włoszka „fuoriuscita“ czyli emigrantka polityczna z epoki Mussoliniego, syn urodzony we Francji z mocy jedynie w Europie w tym kraju obowiązującego ius soli, „rodowity“ Francuz. Takich dziwacznych sytuacji i takich frankizowań sztuczno-prawnych napotyka się wiele na każdym kroku. Pod oficjalnym nurtem życia francuskiego płynie jak gdyby podziemna rzeka, drugi nurt bardziej intymny i nieraz nawet bardzo ukryty, którym jest cała cudzoziemczyzna, żyjąca, pracująca, wegetująca w tym kraju, która asymilując się zewnętrznie do oficjalnego schematu i obyczajów życia, przecięź daleka jest od należytego odczuwania tętna jego pulsu. Ludzie ci, których od wielu bardzo dziesiątków lat ściga do Francji jakiś kataklizm życiowy: bezrobocie we własnej ojczyźnie, emigracja polityczna, wnoszą w życie nowoczesnej Francji nowy obyczaj i własny osobisty sposób myślenia. Dla ludzi tych zrodzonych nad Wisłą, Wołgą, Dunajem czy Padem, nie istnieje cała tradycja dwóch tysięcy lat z górą dziejów Francji, nie przemawia do nich sztelistosość wspaniałych katedr, nie mają żadnego znaczenia wspomnienia wypraw krzyżowych i epoki Napoleona; są to rzeczy dla nich tak wewnętrznie sentymentalnie dalekie, jak dla nas „Luiziada“ Camoensa lub fińska „Kalewala“. Ożywia ich jedynie realizm życia brany pod kątem przede wszystkim ich osobistych potrzeb egzystencji. Przemawiają im oczywiście do serca i umysłu hasła wolnościowe Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ale w takim samym tylko stopniu, w jakim są one wspólną ojcowizną wszystkich ludzi wolnych. W ten sposób w trzon społeczeństwa starej i „douce“ Francji wbiła się drugi, nie wyrosły z jego pnia i nie myślący kategoriami dawno-gallickimi.

Kraj, w którym wskutek fatalnej sytuacji demograficznej wkład obcych krwi wszelkich ras i najróżnorodniejszych proveniencji musiał wywrzeć głęboki wpływ na formowanie się psychiki nowoczesnego Francuza, aby utrzymać swe stanowisko mocarstwowe musi uciekać się do środków niespotykanych w innych państwach. Słynna Legia Cudzoziemska sformowana w 1831 r. w przeważającej liczbie z żołnierzy emigrantów Powstania Listopadowego, a od długich lat dziesiątków rekrutująca się w znacznej liczbie z Niemców, broni posiadłości francuskich w północnej Afryce i w Indochinach. Rdzenni Francuzi są tam jedynie na kierowniczych stanowiskach. Pierwsza Wojna Światowa kosztowała Francję milion poległych. W kraju o tak trudnych warunkach progresji ludności była to prawdziwa klęska, której nie było w stanie zrównoważyć zwycięstwo. Tym bardziej, że poległ cały kwiat inteligencji, ludzi ideowych, elementy silne moralnie i mocne fizyczne. Ubytku duchowego, jaki to wywołało, nie można było później odrobić. Kraj żył w figurze notorycznego kraku rąk do pracy; zaczęła się ogromna imigracja Polaków, Włochów, Hiszpanów, umożliwiająca utrzymanie maszyny publicznej, co zresztą się



## Szkoła rewolucyjnej dojrzałości

(dokończenie ze str. 8.)

człowiek nie zdobędzie się na oddanie życia za podniesienie stawki akordowej o piętnaście kopiejek ani za wybudowanie w fabryce umywalni. Jedynie filozofia, wyznaczając człowiekowi ogólny sens jego życia i nadająca na tym tle wartość jego czynowi heroicznemu jest zdolna poruszyć człowieka do głębi i wytworzyć bohatera w pełni świadomego a nie instynktownego. Dlatego też dążeniem wszystkich wielkich ruchów społecznych było zawsze oparcie swego programu na bazie założeń filozoficznych. W „Starem i nowym“ widzimy jak poczucie posiadania takie-

go totalnego światopoglądu, mającego ambicję rozwiązania całokształtu ludzkich problemów, czyni młodego Rudnickiego niezłomnym apostołem socjalizmu, agitację zaś za nieodpartą konieczność wewnętrzną. Człowiek o takiej postawie psychicznej spontanicznie szuka ludzi i pragnie ich nawrócić. „Żyłem jak pszczoła w ciepłym dniu wiosennym. Tylko śmierć mogła mnie powstrzymać od kontaktu z ludźmi, jak ją z kwiatami“. Dopiero ruch o uzasadnieniu filozoficznym może wytworzyć typ bezinteresownego agitatora, szukającego wszędzie sposobności, by

świadczyc wyznawanej przez siebie prawdzie; inne ruchy płodzą co najwyżej funkcjonariuszy.

Ta samorzutna potrzeba apostołstwa znajdowała ujście przede wszystkim w robocie agitacyjnej w masach robotniczych mniej lub więcej zbliżających się do PPS. Okres opisywany przez Rudnickiego, to okres przypływu fali rewolucyjnej. Dalekie echa strzałów nad rzeką Jalu i wieści o klęskach wojsk carskich budziły w całym kraju dążenia wyzwolenicze. Ludzi nie trzeba było szukać, agitacja socjalistyczna zbierała bogate żniwo. „Kogo się dotknęło, okazywał się swój i czekał tylko na kontakt z partią i jej wydawnictwami“.

Ale ten masowy napływ do ruchu wpłynął zarazem na obniżenie jego świadomości. Do PPS operującego zarówno hasłami walki o niepodległość jak i rewolucji socjalistycznej garnęły się elementy społecznie bardzo różnorodne. Garnęła się arystokracja i patriotyczni rzemieślnicy. Coraz częściej pojawiali się w szeregach partii inteligenci, nie brako nawet zubożałych szlagonów o tradycjach powstańczych, którzy byli w wielkiej mierze podporą materialną ruchu; całe to towarzystwo — główna baza pilsudczyzny w łonie PPS — wysiadło potem z wielkim hałasem „na przystanku niepodległości“. Fala rewolucyjna egarniała coraz szerzej również „niewykwalifikowane ciemstwo fabryczne“, które myślało o walce z przemysłowcami.

Nie wiele trzeba było w istocie w tamtych czasach, aby się czuć samemu i w oczach innych uchodzić za „socjalistę“, wystarczyło być przeciw rządowi carskiemu i porządkowi, na straży którego stał. Jako stróż na sosnowieckim „Saturnie“ użył Rudnicki swoich towarzyszy elementarnej wiedzy o socjalizmie, śpiewając im „Czerwony sztandar“ i „Na barykady“. Na to jeden z nich oświadczył, że on też „potrafi jedną socjalistyczną“. I zaśpiewał:

„Król pruski jod kluski, ałstriacki  
[kasze.  
król polski im napłuł, mieli na  
[okrase“.

Świadomi socjaliści w rodzaju Rudnickiego mieli jak z tego widać niemało do zrobienia. Wspomnienia autora „Starego i nowego“ z pracy partyjnej w tym okresie, pracy prowadzonej na głodno i w dziurawych butach, są bezpretensjonalnym świadectwem stylu tej roboty. Wszystko wydawało się w porządku, dopóki ożywiony był wiarą w słuszność linii politycznej swojej partii i zaufaniem do jej przywódców, dopóki zatem jego agitacja kierowała się na nieświadomione „doty partyjne“. Pewnego dnia jednak, i to w samym ogniu dyskusji z esdekami, następuje kryzys. Po raz pierwszy dotychczasowe formy PPS okazują się zbyt ciasne i niewystarczające. Wykuta w twardej walce świadomość socjalistyczna i rozwinięty instynkt klasowy przerastają te sformułowania ideologiczne i polityczne, na których zatrzymała się PPS. Rudnicki przypomina sobie owego niesforowanego śpiewaka z „Saturna“ i po raz pierwszy rodzi się w nim gorzka wątpliwość: „a może i wśród kierowników partyjnych są tacy socjaliści?“

Jak uzasadniona była ta wątpliwość okazało się po kilkunastu latach. Na „przystanku niepodległości“ spadła maska z ogromnej części kierowników PPS odsłaniając element obcy walce rewolucyjnej, traktujący ruch robotniczy jedynie jako szansę dla siebie. Gdy otwarły się dostojęstwa w niepodległej Polsce porzucili socjalizm. Robotnik musiał szukać własnej drogi. O trudnościach tej drogi opowie Rudnicki w dalszej części swojej pamiętników.

Franciszek Witowski

Janusz Zabłocki

## Ludzie i ziemia

Powieść Hansa Leberkhta \*) należy do utworów typu socrealistycznego.

Tło społeczno-polityczne tej powieści dotyczy lat 1940—1947 a więc okresu wojennego i powojennego kształtowania się nowego oblicza wsi Estońskiej SRR. Mamy tu do czynienia z kolejnymi etapami kolektywizacji wsi, a więc od „wywłaszczenia wywłaszczycieli“ poprzez drobną własność aż do gospodarki kolehozowej.

Temu obrazowi ekonomiki socjalistycznej odpowiada też galeria postaci — w danym przypadku mieszkańców wsi Koordi.

A więc rodzina Kurvestów — bogatych farmerów, których wielkość i lokalna potęga kończy się z nadejściem władzy radzieckiej.

Mihkel Koor — kułak wiejski, żerujący na biedocie do czasu powstania we wsi kolehozu „Nowe Życie“.

Juhand Känd — spekulant i „kombinator“, postać typowa dla okresu przejściowego w gospodarce socjalistycznej.

Z drugiej strony tej ekonomicznej barykady znajdują się wyraziciele i realizatorzy nowego porządku. Paul Rung i Aino Vao — dawniejsi robotnicy rolni u bogatego Kurvesta, obecnie przedujący kołchoźnicy. Dalej — Reosi Rist, wyrobnica wiejska,

\*) Hans Leberkht — światła w Koordi. Tłum. M. Dolińska. Czytelnik. W-wa, 1950, str. 283.

G. K.

## Z zagadnień ludnościowo-politycznych Francji

udało, ale upadku ducha nie można było nadrobić. Ponad hasła patriotyczne dawnej Francji zaczęły wysuwać się hasła kosmopolityzmu łatwo dostosować się dające do pewnego typu mentalności rdzennej i neofrancuskiej ludności. Toteż wybuch Wojny w 1939 r. zastał Francję zupełnie nieprzygotowaną duchowo. „Co mi złego zrobili Niemcy“ — powiadał przeciwny burżuazji — humanitarysta — „to tacy sami ludzie jak i my. A że mówią innym językiem, rzecz bez znaczenia. Alzacja i Lotaryngia? Czy to nie wszystko jedno, do kogo ona należy w wielkiej rodzinie ludów świata?“ W tym stanie umysłów nie było ani ochoty ani jasno uświadomionego celu wojny. Odgródzony fortyfikacjami linii Maginota, Francuz nie tylko czuł się bezpieczny, ale niczego nie pragnął i niczego nie chciał poza czerpaniem korzyści z nagromadzonych od generacji całych zasobów. W tym nastroju duchowym, klęskę tłumaczy się sama. W grudniu 1939 r. premier Francji Paul Renaud wołał z Trybuny Izby Deputowanych: „W 1914 r. do grudnia mieliśmy 1.400.000 żołnierzy straconych, w 1939 r. mamy ich do tej pory 1.400! Któryż sposób prowadzenia wojny jest lepszy? Burzliwe oklaski były mu odpowiedzią. Ale jeśli nie na polach bitwy, to jednak w obozach koncentracyjnych Niemiec i jako wyzyskana do ostateczności siła robocza po fabrykach, utracili Francuzi znowu okragły milion ludzi. Powstała w ten sposób luka, która musiała być wyrównana, ale w o wiele trudniejszych warunkach, bo nie można już było liczyć na import taniej siły słowiańskiej. Zmiany warunków ekonomicznych, możliwość zatrudnienia własnej ręki pracy, nie zmuszały ludności tych krajów do emigracji, wysuwało to jednak konieczność by skądś szukać pracownika. Najbliższymi okazali się Włosi, którzy nie mogąc znaleźć pracy we własnej ojczyźnie po wojnie, zmuszeni byli do emigracji zarobkowej. Liczbę ludności włoskiej we Francji w 1946 r. obliczono na 300.000 ale wedle znawców było jej przeszło 420.000. Odtąd do ostatnich czasów sprowadzono jeszcze 111.000, tak że ze spokojem można liczyć Włochów we Francji na pół miliona. Z punktu widzenia współczesnych Włoch emigracja ta jest kląpą bezpieczeństwa przed wszelkimi konsekwencjami bezrobocia; z punktu natomiast widzenia francuskiego stanowi to czynnik umożliwiający podtrzymanie machiny życia publicznego na takich odcinkach, do których w żaden sposób rodowity Francuz nie stanie. Ale ta poważna cyfra cudzoziemców z sąsiedniego kraju napełnia administrację francuską obawą, by przypadkowo nie zechcieli oni osiedlić się, sprowadzić rodziny, stworzyć ogniska domowe. Łatwo bowiem wówczas mogłoby utworzyć „mniejszość“ włoską we Francji, zwłaszcza, że każde dziecko urodzone z cudzoziem-

ca na terytorium francuskim jest, jak wspominałem wyżej, z mojej prawa — Francuzem. Jeśli tacy Francuzi żyć będą w skupieniach, jeśli zachowują obyczaj i mowę ojczystą oraz poczucie przynależności do Italii, to wówczas może bardzo łatwo wytworzyć się problem „włoski“ i kiedyś przy jakiejś odpowiedniej koniunkturze odegrać rolę kłopotliwą. Więć nie pozwala się robotnikom na sprowadzanie rodzin, zmusza do mieszkania latami całymi w koszarowych barakach, gdzie robotnik ma tylko łóżko, utrudnia możliwość korzystania przez rodziny z opieki społecznej. Wszystko by ludzi nie ustabilizować na swym terytorium i utrzymywać w pozycji wędrownych ptaków. Chyba, że ożenią się z Francuzkami i przejdą wówczas w zupełności na stronę nacjonalizmu francuskiego. Inaczej jako element niczym stałym nie związany z krajem pracy, może być w każdej chwili usunięty, skoro stanie się zbędny.

We Francji od dłuższego czasu obserwuje się pewien zwrot na lepsze w kierunku naturalnego przyrostu ludności. Ogromna opieka zdrowotna, daleko idąca pomoc materialna i moralna państwa dla rodzin posiadających dzieci, podniesienie stanu duchowego i moralnego kraju w kierunku uprzywilejowanego stanowiska dla przyrostu ludnościowego, a wreszcie — to trzeba jasno powiedzieć, duży wkład, który w tym względzie wniosły w środowisko populacyjne francuskie masy cudzoziemców, pochodzące z ras i narodowości odznaczających się dużym procentem płodności, musiały wywrzeć pozytywny skutek. Nie zapominajmy nigdy, że rasa gallicka jest stara, bardzo stara, i że na tysiąc lat przed ukazaniem się na widowni dziejowej Polski, miała już za sobą kilkaset lat własnej historii. To przy pewnych specyficznych warunkach wyczerpuje starzejący się naród i w pewnym momencie daje się odczuć. Dla dobra Francji i dla dobra pielęgnowania tego wielkiego wkładu duchowego i umysłowego, jaki wniosła ona w kulturę i cywilizację świata, życzyć sobie należy, aby pokonała ona kryzys jaki przechodzi od 150 lat i aby zaznaczające się jaskółki pomyślnego zwrotu w dziedzinie ludnościowej okazały się trwałymi i stale polepszającymi się. Tak jak na wschodzie Europy silny blok ludów słowiańskich ma swą rolę do spełnienia, tak na jej zachodzie ma ją Francja, do której zwracają się od tak długich już wieków oczy tych wszystkich, którzy potrafili obiektywnie ocenić to co wniosła ona dodatniego dla dziejów Europy, świata i tych krajów — które jak Polska — związane są z nią tyłu więzami wspomnień i ożywione dla jej przyszłości jak najszerzszymi uczuciami.

Wiliam SOUTAR  
(Wielka Brytania)

D Z I E C I

Złożona je na ulicy

Obok strzaskanych kamieni:

Krew dzieci uporczywie patrzy ze wszystkich kamieni,

Śmierć zesłała na nie z nieba

W słoneczne popołudnie;

Ciemność się rozpostarła nad jasnym popołudniem.

I znów jest niebo czyste

Na ziemi zieje plama;

Ściemniała ziemia od tej czerniejącej plamy.

Ta rana która gdzieś

Piętnuje serca ludzkie;

Krew dzieci zawsze piętnuje serca ludzkie,

W powietrzu cisza trwa,

Znowu zabłyśły gwiazdy:

Cieha i obojętne łagodne patrzą gwiazdy.

Leez z ziemi patrzą dzieci

Ślepym i straszonym spojrzeniem.

Pamiętaj — twoje sumienie jest w tym dziecięcym spojrzeniu.

Karl SPITTELER

1845 — 1924

(Szwajcaria)

DLACZEGOSMY TAK CIERPIEĆ!

Oto cudowne ogrody wydzwignęły się z ziemi

Uwieńczone kwiatami i rumieńcem złotym się mleniąc

Owoców dojrzałych, które na gałęziach zielonych

Szczęśliwie kłonią głowy w słodką woń otulone.

Lecz nie tylko ogrody, patrz, przez kwitnące łany

Biegnie lud promieniejący i rozśpiewany.

Ach to są nowi ludzie, piękniejsi, o dumnych postaciach

Ich krok swobodny i dzielny — wszyscy to siostry i bracia

I wszędzie tam gdzie lud ten nowy się pojawi

Umarli wstają z grobów i spoglądają ciekawie.

Bracia, mówią, — oto Pokój panuje na świecie

Zaćoście martwi padali, dlaczego cierpieli, teraz już wiecie

nen

Marek Antoni WASILEWSKI

# Wstrząsająca i pośepna bajka o biletach tramwajowych

Chciałem nabyć bilety  
Miesięczne dla biura.  
Cóż, kiedy niestety  
Sprawa to ponura.  
Urzędnik rzekł z okienka:  
— Czy ma pan blankiety?  
— Nie mam — rzekłem miękko.  
Nie miałem niestety.  
— Wykupi pan blankiety,  
Wypełni rubryki,  
Ach... i jeszcze przed tym  
W dziale statystyki  
Formularz pan złoży  
I zwięzłe podanie.  
Jeszcze dziś pan może  
To podanie zanieść.  
Kupiłem formularze,  
Wypełniam rubryki:  
JAKĄ BIERZE GAŻĘ?  
MIESZKA SAM, CZY PRZY  
KIMS?  
CHCE JEDNĄ, CZY CHCE  
WIĘCEJ  
OTRZYMAĆ PRZESIADKĘ?  
CZY WŁOSY MU SIĘ KRĘCĄ?  
KIM BYŁ JEGO DZIADEK?  
CZY OSPĘ MIAŁ SZCZEPIONĄ?  
JEŚLI TAK, TO KIEDY?  
ŻYJE SAM, CZY Z ŻONĄ?  
CZY BRAŁ GDZIEŚ NA  
KREDYT?  
CZY NA COŚ NARZEKA?  
I CZY CHRAPIE W NOCY?  
ZDROWY, CZY KALEKA?  
JEŚLI TAK, TO PO CO?  
OSZCZĘDNOŚCI CZY MA?  
ALBO NIERUCHOMOŚĆ?  
SŁUŻBY CZY NIE TRZYMA?  
CZY MA KOTA W DOMU?

LICZBY LUBI PARZYSTE,  
CZY TEŻ NIE DO PARY?  
FIGOWY, MA LISTEK?  
JEST MEODY CZY STARY?  
WŁOSY MA, CZY ŁYSY?  
JEŚLI ZAŚ MA WŁOSY,  
CZY POSIADA POLISY?  
JAKIM SPIEWA GŁOSEM?  
CZY KWIATKI MIEWAŁ  
W OKNIE?

Z CZEGO MA ZELÓWKI?  
I CZY GO ISTOTNIE  
NIE STAĆ NA TAKSÓWKI?  
Wypełniłem, idę,  
Oddaję w eMZetKa.  
Wkrąg spoglądam przytem:  
Tu ścienna gazetka,  
Tam tablica ogłoszeń.  
Patrzę — ogłoszenie;  
Oczy w górę wznoszę,  
Czytam: „OBWIESZCZENIE.  
UWAGA! WSZYSCY, KTÓRZY  
CHCĄ NABYĆ BILETY,  
CI BEZWZGLĘDNIE MUSZĄ  
PRZYNEŚĆ ODPIS METRYK.“

I jak z pisma dalej  
Niezbicie wynika,  
Bilety będą, ale  
Niezbędna metryka.  
Przyniosłem więc metryki.  
Sto, w pełnym wypisie.  
Chcę brać bileciki,  
A tu gość dziwi się.  
— Jak mam dać bilety,  
Gdy pan nie ma wkładek?  
Trzeba jeszcze przed tym  
U moich sąsiadek,  
Tu, w okienku obok  
Zatawić te wkładki  
Wszystkim tym osobom  
Co płacą podatki.

Ci, którzy nie płacą  
Wkładek mieć nie muszą,  
Bo z miejsca ich pracy  
Dane przyszłe urząd  
I wtedy dostaną  
Po cztery na głowę  
Już ostemplowane  
Karty tymczasowe.  
Poszedłem do tych panius  
O wkładki zapytać.  
Miałem posłuchanie.  
Wyjaśniły mi tak:  
Wkładki są w odcieniach.  
Czerwone, niebieskie  
(Te wolno zamieniać)  
I zielone jeszcze.  
Zielone są stałe  
Jeśli są z pieczątką.  
Blankiety mi dały,  
Więc znów od początku  
Wypełniam i obliczam,  
Wpisuję i kreślę:  
KLASA — robotnicza  
CZYM Z ZAWODU? — Ciesła,  
DWUNASTKĄ JEZDZIĆ LUBI,  
CZY WOLI SIÓDEMKĄ?  
W NOSIE, CZY NIE DŁUBIE  
PRZYPADKIEM PO CIEMKU?  
CZY MIEWAŁ WYPIEKI?  
CZY POSIADAŁ ZIEMIĘ?  
I CZY W MEODYM WIEKU  
NIE BYŁ BITY W CIEMIĘ?

Wkładki są we wzory,  
Więc dla kogo która?  
Bo wzór ma kolor  
Zależnie od biura.  
Dla rudych są czerwone,  
Dla łysych niebieskie,  
Dla brunetów zielone  
(Jeśli jeżdżą z pieskiem),  
Blondynom zaś z przyczyny  
Nadmiernego tłoku  
Zezwala się jedynie  
Jechać raz do roku.  
Wszystko wypełniłem,  
Idę po bilety,

Aż tu rzecz nad siły:  
Nie zdałem ankiety.  
Ankieta rzecz istotna,  
Ankiety zdać trzeba.  
Rzucam się do okna:  
Niebo. — Wielkie nieba!  
Coś mnie strzyka w grdyce,  
Coś pod piętą lechcze,  
Pręży lewy biceps,  
Chwytają mnie dreszcze...  
Pisanina! Rubryki!  
Cyferki! Pytania!  
Wydałem krzyk dziki,  
Z ust mi poszła piana,  
Zrobiłem trzy piruety  
(Rzecz prosta, na pięcie)  
— Mam gdzieś te bilety!  
Ryknąłem zauważcie,  
Wybiegłem na ulicę,  
Włos mi dęba staje,  
Włos stoi, ja krzyczę,  
Przystają tramwaje.  
Wchodzę do wagonu  
I normalny proszę.  
Daję wór bilonu  
I złotych sto osiem.  
— Proszę — mówię — bilet,  
Aby bez pieczątki.  
Ile mam, dam tyle  
I będzie w porządku.  
Abym za opłatą  
I bez wkładki abym,  
Zuykły obywatel,  
Mógł bilecik nabyć.  
— Normalny?!! — rzekł konduktor.  
Cały tramwaj zdębiał.  
— Czy słyszał też tu kto?  
Takich dawno nie ma.  
— Normalny? — rzekł z trwożą.  
Spojrzał proletariat,  
Aż ktoś rzekł do kogoś:  
— Normalny? Nie! Wariat!

## List do redakcji

Do naszych prac przekładowych drukowanych w numerze radzieckim „Dziś i Jutro“ zakradły się omyłki, w kilku wypadkach dość dotkliwie zniekształcając tekst. Niniejszym pozwalamy je sprostować.

A więc:

1) W opowiadaniu A. Czechowa pt. „Na zesłaniu“ zamiast „Tatarzyn był chory, martwił się i zawijając go...“ powinno być „Tatarzyn był chory, martwił się i zawijając się...“ Tamże, zamiast „Niech pan zapomni o tym, że co było, to jakby wcale nie było...“ powinno być „Niech pan zapomni o tym — co było, to jakby wcale nie było...“ Bez że. Tamże, zamiast „A ludzie z tamtej strony wciąż jeszcze nie przestali nawoływać...“ powinno być „A ludzie z tamtej strony wciąż jeszcze nie przestawali nawoływać“.

2) W drugiej strofie Wstępu do „Człowieka w skórze lamparciej“ Szoty Rustawego dwuwiersz zakończenia powinien brzmieć: „Później otwórz raj na oścież, bym przed Tobą z pieśnią kłaki“. Korektor puścił „kłaki“! Bluźnierca! Ale istotnie, jak tu nie kłąć!

3) W ostatniej strofie „Zimowego wieczoru“ A. Puszkina zamiast „to, jak dzieci, kwili skądś“ powinno być, jak w pierwszej strofie, „to jak dziecię, kwili skądś“.

4) Znakomita sztuka Wsiewołoda Iwanowa nosi tytuł „Pociąg pancerny 14-69“. Słowami: czternaście sześćdziesiąt dziewięć. Korektor puścił tytuł z rabatem. A przekładu fragmentu „Pociągu“ dokonał sromotnie pominięty Alfred Kalinka.

Łączymy uprzejme wyrazy

Wiesława Owczarkówna  
Stanisław Roland  
Janusz Kawecki  
Alfred Kalinka

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE

DO

ADMINISTRACJI

„DZIŚ i JUTRO“

SP. WYD „PAX“

WYSYŁA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CÓRY  
KROLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ  
22 zł. 50 gr. ZA EGZ.

NA KONTO

PKO I-8515

LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM

## Kronika Z. S. R. R.

W PREZYDIUM AKADEMII  
NAUK ZSRR

Prezydium Akademii Nauk ZSRR i Akademii nauk pedagogicznych RSFRR postanowiły zwołać w listopadzie br. wspólną sesję, która ma być poświęcona pracom J. W. Stalina w zakresie językoznawstwa i zagadnień nauki języków w średnich szkołach. W zebraniach tych, oprócz przedstawicieli obu zapraszających instytucji mają wziąć udział również delegaci instytutów pedagogicznych i różni badacze języków.

NIEZWYKŁY WYCZYN  
LOTNICZY.

Wczesnym rankiem 25-go października br. z położonego pod Moskwą małego lotniska Centralnego Aeorologicznego Obserwatorium Głównego Urzędu Meteorologicznego przy Radzie Ministrów ZSRR, wzniósł się stratosferyczny aerostat „SSSR WR-79“. W aerostacie znajdowali się znakomity pilot Zinowiejew, kandydat nauk geograficznych Gajgierow i radiotelegrafista Kirpiczew. Celem tej ekspedycji było przeprowadzenie szeregu naukowych badań.

Cały przelot odbył się w nader trudnych i skomplikowanych warunkach atmosferycznych. 28-go października, to jest trzeciego dnia,

aerostat lądował koło kolchozu „Kży-Tu“ w okręgu Tałdy-Kurgańskim Kazachskiej Republiki. W ten sposób lotnicy spędzili nieprzerwanie w powietrzu i stratosferze 83 godziny i 29 minut. Przez ten czas przelecieli przestrzeń koło 3100 km.

Aerostat stratosferyczny „SSSR WR-79“ pobili tym samym wszystkie dotychczasowe rekordy światowe w dziedzinie tego rodzaju lotów, a to zarówno pod względem ilości godzin utrzymywania się w powietrzu i stratosferze, jak też i dystansu lotu dla tej kategorii wielkich aerostatów.

Badania naukowe dokonane przez lotników stanowią bogaty materiał, który zostanie starannie opracowany.

KU PAMIĘCI ALBAŃSKIEGO  
POETY KLASYKA

Koła literackie Moskwy obchodzą uroczystości kilka dni temu 50-tą rocznicę śmierci albańskiego poety klasyka Naima Fraszeri. Wieczór, który odbył się w centralnym domu literatów, zagał poeta Asiejew, po czym zyciorys i charakterystykę twórczości największego poety albańskiego skreślił Szczepaczow, charakteryzując go jako bojownika za wolność ludu! Wieczór zakończyły deklamacje różnych utworów Fraszeri.

## Kronika Chin Ludowych

POZYCZKA PAŃSTWOWA DLA  
PRZĘDZALN JEDWABIU

Donoszą z Szanghaju, że związek producentów jedwabników w Chinach otrzymał znaczny kredyt w Chińskim Banku Ludowym, co pozwoli przedziałniom zrealizować cały jesienny plan kokonów. Cała suma kredytu wynosi 30 milionów dolarów chińskich, z czego 1/3 ma być przeznaczona na zakup kokonów w hodowlach państwowych, zaś 2/3 u hodowców prywatnych. Kredyt powyższy jest bardzo nisko oprocentowany, a spłacalny po 3 miesiącach różnymi ratami.

ROZWÓJ KULTURALNY  
MANDZURII

Według wiadomości nadeszłych z Mukdenu rok przeszły przyniósł wielkie postępy w życiu i rozwoju kulturalnym północno - wschodnich Chin.

Uruchomiono na terenie Mandżurii 16 wyższych uczelni z różnych dziedzin życia, w których studiuje około 16.000 uczniów. Ilość szkół średnich podniosła się o 1/5, a liczba uczących się o 38%. Założono 61 szkół technicznych, kształcących kadry nowych robotników i rolników. Ilość powszechnych szkół wzrosła do liczby 34.000, a liczba uczących się w nich dzieci sięga cztery i pół miliona.

Równoległe z powyższym wprowadzono doksztalcenie analfabetów oraz założono zimowe kursy po wsiach, do których może uczęszczać ponad cztery miliony chłopów i kobiet wiejskich, w miastach zaś urządzono dla robotników oraz rzemieślników wieczorne kursy doksztalcające.

Rozwinęło się nadzwyczaj silnie wydawnictwo książki, które osiągnęło w Mandżurii 46 milionów tomów. Do potrzeb wsi i osiedli robotniczych przystosowano radiofonizację oraz programy radiowe. Silnie rozwija się praca w dziedzinie artystycznej. Szeregi artystów współpracują w miastach i na wsiach nad rozwojem życia kulturalnego, organizując amatorskie kółka te-

atralne, związki śpiewacze, zespoły tańca i śpiewu.

MUZYCZY W CHINACH KU  
CZCI HSI-HSING-HAI.

Dla uczczenia 5-tej rocznicy śmierci wielkiego muzyka chińskiego Hsi-Hsing-Hai, Centralna Akademia Muzyczna urządziła w Pekinie wielkie zebranie muzyków, zakończone koncertem. W zebraniu wzięło udział około 1000 muzyków i uczniów muzyki, którzy się zjechali ze wszystkich krańców Chin. Przewodniczący Związku chińskich kompozytorów podniósł w swym wstępym przemówieniu wielkie zasługi zmarłego w jego 15-letniej twórczości. Opierając się na motywach ludowych ten największy chiński kompozytor napisał ponad 200 pieśni popularnych, 4 kantaty, symfonię i szereg ballad. Zdobył muzyki światowej umiał ten twórca przystosować do pieśni ludowej i ducha narodowej symfoniki chińskiej.

Na koncercie, który zakończył zebranie, odtworzono cały szereg utworów mistrza.

WIELOJĘZYCZNOŚĆ W CHINACH

W Chinach istnieje wprawdzie jeden alfabet a raczej jeden w całym kraju rodzaj znaków pisaćskich pojęciowych, ale jest bardzo wiele dialektów, czy nawet odmiennych języków, co sprawia, że Chińczyk południa nie rozumie Chińczyka północy, tak jak w Europie Grek nie rozumie Szweda. Tylko, że tam porozumieć się oni mogą pisząc znaki, w Europie to jest niemożliwe.

Z okazji pierwszego święta narodowego Akademii nauk w Pekinie przeprowadziła badanie językoznawcze różnych przybyłych delegacji z rozmaitych prowincji. Badania te wykazały, że 42 pokrewne grupy narodowościowe żółtej rasy w Chinach posługują się 34-ma różnymi narzeczaniami czy językami. Ta wielka praca została dokonana przy pomocy rządowej Komisji dla spraw językowo-narodowościowych i ma na celu przygotowanie materiałów dla zamierzonej unifikacji językowej.